



CINDY GERARD

**Narzeczona
dla Abła**

Tytuł oryginału:
A Bride for Abel Gretn



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie pozostało jej nic innego, jak mówić samej do siebie. Na głos. Bała się, i to bardzo, i nie chciała, by jej młodszy brat o tym wiedział.

- Może przesadzasz. Może wcale nie zablądziście. Tak, akurat, a ty jesteś chińską cesarzową - mruzczała pod nosem Mackenzie Kincaid, zastanawiając się, kiedy ten koszmar wreszcie się skończy. Cóż za ironia losu, Można powiedzieć, że wpadli z deszczu pod rynnę.

- Zaszłaś już tak daleko, Kincaid, że chyba nie pozwolisz, by odrobina śniegu i mrozu pokrzyżowała ci plany.

W ciągu ostatniej pół godziny poznała co naprawdę znaczy zimno. Dowiodła jej tego ta niesamowita burza śnieżna i lodowate spojrzenia brata. Była pewna, że jeśli ten zimny wiatr i śnieg oblepiający dzinsy nie zamrożą jej na śmierć, to wykończy ją Mark, z typową buntowniczą determinacją piętnastolatka. Z zaciśniętymi zębami przedzierał się tuż obok niej przez ponad półmetrowe zasy.

- Czy to wszystko jest konieczne? - skierowała do nieba rozpaczliwe pytanie.

Czuła na sobie ciężar podjętej w rozpaczy decyzji, ciężar kłamstwa, na które się zdecydowała, i ciężar, tym razem zupełnie fizyczny, sportowego worka, w którym dźwigała cały swój ma-

jatek. Mark też obładowany był takim worem, lecz najbardziej chronił małe przenośne radio, które przyciskał do siebie.

Ściągając mocniej wiązania kaptura lekkiej czerwonej kurtki, Mackenzie ugięła się pod podmuchem lodowatego wiatru, który chłostał wędrowców z jakąś iście sadystyczną przyjemnością, rzucając im w twarz garście mokrego śniegu.

- Żwawo, Kincaid - dodawała sobie odwagi. Bała się, że za chwilę wpadnie w panikę. - Wyjdiesz z tego. Owszem, jest ci zimno. Czujesz się wykończona. Ale nie możesz się poddać. Zbyt wiele od tego zależy. Także ich życie.

Miała wrażenie, że wieki upłynęły od chwili, kiedy wraz z Markiem, targani mnóstwem wątpliwości, wsiedli do tego autobusu. Podczas trzydziestosześciodzinnej podróży przejechali przez słoneczną Kalifornię, pokonali całe kilometry pustyni, gór i równin Środkowego Zachodu i wylądowali tutaj - na skraju Arktyki, w północnej Minnesocie.

Mackenzie miała nadzieję, że będzie to odludzie. To właśnie najbardziej ją w całym poмысле pociągało. Nie spodziewała się jednak, że znajdzie się w środku największej burzy śnieżnej stulecia.

- Niektórzy pewnie potraktowaliby to jako wspaniałą przygodę - wymamrotała do brata przez szczękające zęby.- Ciekawa była, czy jej wargi są tak samo sine jak usta Marka.

Jej uwaga nie była jednak w stanie poprawić mu humoru. Nie skomentował jej nawet, bo od godziny w ogóle się nie odzywał. Całe szczęście, bo jego cięty język na pewno zniechęciłby jedyną osobę posiadającą auto, jaką spotkali na końcowym przystanku autobusu. Mieliby, wtedy przed sobą jeszcze pięćdziesiąt kilometrów do celu. Dzięki uprzejmemu kierowcy pozostał im tylko niecały kilometr.

- Podwiózłbym was dalej, ale stary Greene niechętnie widzi u siebie obcych. Lepiej nie traćcie czasu. Zapowiada się niezła burza - rzucił na pożegnanie mężczyzna.

Zapowiada się? Dopiero się zapowiada? A Mackenzie już stała w śniegu po kolana i miała go pełno za kołnierzem.

Choć ogarniające ją wątpliwości były równie liczne jak padające płatki śniegu, wiedziała, że nie mogą się wycofać.

Już od co najmniej pół godziny przedzierali się zasypaną śniegiem ścieżką, lecz nie dotarli do czegokolwiek, co przypominałoby polanę.

- Choć biorąc pod uwagę - mruzczała dalej pod nosem Mackenzie, ocierając z twarzy topniejący śnieg - że nie widzę nawet własnej ręki, w tej burzy przeoczyłabym pewnie i Statuę Wolności.

Żartowanie przychodziło jej z coraz większym trudem. Była zmęczona, przemoczona i powoli traciła czucie w palcach u nóg. Nagle wśród pokrytych czapami śniegu sosen i brzóz ujrzała zarys dachu.

Zmrużywszy oczy, podeszła nieco bliżej.

- Dzięki ci, Boże - szepnęła bliska łez, kiedy przekonała się, że rzeczywiście ma przed sobą chatę.

Choć w tej chwili i zupełnie by ją zadowolili nawet byle jaka kryjówka, nie była to jakaś nędzna chatka pustelnika, lecz prawdziwe dzieło sztuki architektonicznej. Zza licznych zaparowanych szyb połyskiwało światło, z kamiennego komina wił się dym.

Już chciała biec lecz nagle ujrzała wilka.

- Boże szepnęła i wstrzymała oddech.

Zwierzę było ogromne, miało co najmniej sto dwadzieścia centymetrów wzrostu i ważyło na oko ponad czterdzieści pięć kilo. Mackenzie czuła też, że jest głodne, bo powarkowało

ostrzegawczo, odsłaniając kły. Srebrnoszare błyszczące oczy wpatrywały się w nią groźnie.

- Nie ruszaj się - szepnęła Mackenzie do Marka, zasłaniając go sobą. - Nii... nic nie rób. Sssstój spokojnie.

Mark wyraźnie zeszywniał.

- Co on robi?

- Nnnie... nie wiem. Chyba patrzy. Może też się nas boi.

Chłopiec prychnął lekceważąco. Widać było, że jej nie wierzy. Zdrowy rozsądek Mackenzie też nie chciał jej słuchać, więc kiedy wilk zrobił krok w ich stronę, bez wahania zmieniła taktykę.

- Uciekaj! - krzyknęła i pchnęła Marka w kierunku odległej o kilkanaście metrów chaty. Potem rzuciła swój worek.

Zwierzę uchyliło się przed nim i podeszło krok bliżej. Dopiero kiedy brat zasłonił ją sobą, zorientowała się, że nie posłuchał jej rozkazu.

- Mark, nie!

Nie słuchał. On też rzucił swój worek. I też chybił. Zwierzę ugięło łapy i zaczęło się ku nim skradać.

Mackenzie stłumiła szloch. Wywlokła opierającego się Marka z Los Angeles, by ocalić mu życie - a teraz mogą zginąć oboje. Zginać. Zastanawiała się właśnie nad sensem tego słowa, kiedy zobaczyła, jak Mark unosi do góry swe drogocenne radio, wykonuje zamach i rzuca odbiornikiem w kierunku wilka.

Tym razem rzut był celny. Radio uderzyło mocno w tylną łapę zwierzęcia, które skowycząc poczłapało w las.

Tylko tego jej było trzeba.

- Uciekajmy! - krzyknęła Mackenzie, chwyciła Marka za rękę i potykając się, ruszyła pędem w kierunku chaty.

Zrobili zaledwie kilka kroków, kiedy stanęli jak wryci.
Przeżrana Mackenzie krzyknęła;

Kroczyła ku nim ruchoma góra

Mackenzie nie była w stanie się poruszyć. Stała jak sparaliżowana.

Miała wrażenie, że znalazła się w środku jakiegoś niesamowitego horroru.

Spod głęboko naciągniętej wełnianej czapki spoglądały na nią dzikie, czarne oczy. Na ramieniu kołysała się ogromna siekiera o podwójnym ostrzu, za pasem błyszczał groźnie długi, ostry nóż.

W porównaniu z tym uzbrojonym, oddychającym parą potworem wilk zdawał się tylko szczeniakiem.

Upłynęło wiele przerażających chwil, zanim Mackenzie uświadomiła sobie; że ma przed sobą człowieka, a nie potwora. Nie robiło jej to, zresztą żadnej różnicy. Nieznajomy był wściekły i groźny. Mark też był tego zdania, bo nagle z głośnym okrzykiem rzucił się na niego.

Mackenzie była tylko w stanie wykrzyknąć jego imię.

Mężczyzna zaś chwycił go po prostu za kark i rzucił w pryzmę śniegu.

Chłopak nie dał za wygraną. Był dzieckiem ulicy i czegoś się tam nauczył. Błyskawicznie zerwał się na równe nogi i znów rzucił się na swego wroga. Tym razem otoczył ramionami jego nogę.

Ten manewr zaskoczył mężczyznę. Siekiera poszybowała wysoko w powietrze, a olbrzym z głuchym odgłosem runął na ziemię. Mark trzymał się go mocno jak pchła psiego futra.

Mackenzie postanowiła sprawdzić, czy pieniądze, które niedawno wydała na kurs samoobrony, zostały wyrzucone w błoto. Jej młodszy brat jest w poważnych tarapatkach. Sko-

czyła mężczyźnie na plecy, ręką od tyłu zasłoniła mu oczy, a nogi oplotła mu wokół pasa.

- Puść go! - krzyknęła i próbowała zacisnąć ręce na gardle olbrzyma.

Mężczyzna warknął coś groźnie pod nosem, sięgnął ręką za siebie, chwycił Mackenzie za kurtkę i bez szczególnego wysiłku zrzucił ją z siebie.

Z jękiem wylądowała obok Marka. W oczach zobaczyła gwiazdy, zabrakło jej tchu. Kiedy w końcu doszła, do siebie, napotkała twarde spojrzenie oczu czarnych jak węgiel,

Obok niej leżał na plecach Mark, który machał rękami i nogami, jak bokser wagi piórkowej, pluł śniegiem i wykrzykiwał obraźliwe epitety pod adresem klęczącego nad nimi mężczyzny.

- Uspokójcie się - warknął nieznajomy i bez wysiłku przygwoździł ich do ziemi.

Mackenzie otarła śnieg z twarzy i spojrzała na niego, nadrabiając miną.

- Puść nas.

Tak jak się spodziewała, mężczyzna ani drgnął. Uznała więc, że tylko jej wrodzony spryt może ich uratować.

- Postępujesz bardzo nierozsądnie - oznajmiła, starając się, by jej głos brzmiał twardo i zdecydowanie. - Pu... puść nas i to natychmiast, bo inaczej będziesz miał poważne kłopoty.

Mężczyzna spojrzał na nią uważnie i zmarszczył brwi. -Ja będę miał kłopoty? Nie wiem, czy zauważyłaś, ale to ja jestem zwycięzcą.

- Posłuchaj - powiedziała Mackenzie, ignorując jego aż za bardzo zgodną z prawdą uwagę. - Mój mąż... - zaczęła i natychmiast przypomniała sobie słowa człowieka który ich tam podwiózł. - Mój mąż bardzo nie lubi obcych na

naszym terenie. Marny twój los, jeśli cię tu spotka. A jak

cokolwiek nam się stanie, znajdzie cię nawet na końcu świata - dodała z nadzieją, że to kłamstwo wywoła u niego jakąś reakcję.

Wywołało. I to dużo większą, niż się spodziewała. Miała naciągniętą głęboko na czoło wełnianą czapkę i wysoko pod szyję zapiętą kurtkę, nie widziała więc jego twarzy. Dostrzegła za to jego oczy i ich niesamowity chłód.

- Chcesz mi powiedzieć, że to twój teren? - Jego głos był niebezpiecznie cichy, a więc tym groźniejszy.

Mackenzie ani się śniło wycofać. Trzymała się uparcie swego kłamstwa.

- Mój i mojego męża.

- Twój i... twojego męża. A kim jest ten mąż, jeśli mogę wiedzieć?

Ironia w jego głosie była aż nadto wyraźna. Podobnie jak zniecierpliwienie. Z ulgą poczuła jednak, że uścisk jego dłoni lekko słabnie. Rzuciła w kierunku Marka ostrzegawcze spojrzenie.

- Abel... Abel Greene.

Mężczyzna gwałtownie zamrugał powiekami i z jego nozdrzy, jak z dwóch kominów, wydobyły się kłęby pary.

- Abel Greene nie ma żony.

- To... to może i prawda - wycofała się ostrożnie Mackenzie, czując aż nadto wyraźnie jego ciężką, dużą rękę na swoich piersiach. - Ale już niedługo. My... on... Abel i ja... pobieramy się.

W oczach mężczyzny na ułamek sekundy pojawiło się coś na kształt zdziwienia, niedowierzania, a potem, kiedy przyjrzał się bliżej jej twarzy - chyba rozczarowania.

- Czyżbyś... O kurczę. Nie mów, że jesteś Mackenzie Kincaid.

Ledwo wypowiedział te słowa, milczenie Mackenzie potwierdziło jego obawy,

Przymknął oczy i krótko, ale dosadnie zaklął. Westchnął głęboko i odsunął się tak szybko, że dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest wolna. Po upływie kolejnej chwili dotarło do niej, że mężczyzna wie, kim ona jest.

Usiadła niezgrabnie, zaciekawiona, skąd ten olbrzym zna jej imię. Szybko doszła do jedynej, aż nadto logicznego wniosku. I tylko dzięki wrodzonemu zdrowemu rozsądkowi była w stanie go zaakceptować.

Tylko jeden człowiek w tej pokrytej śniegiem okolicy mógł wiedzieć, kim ona jest, i nie był to, bynajmniej, Święty Mikołaj.

Patrzyła na lodowate oczy i groźną, wyraźnie niezadowoloną minę mężczyzny, którego miała poślubić. Przejechała cały kraj, bo dał ogłoszenie, że poszukuje żony.

Kiedy dotarła do niej ironia sytuacji, nie wiedziała, czy śmiać się z ulgą, czy płakać ze złości. Pewnie zrobiłaby obie te rzeczy, gdyby przede wszystkim nie chciało jej się krzyczeć. Na szczęście starczyło jej sił tylko na to, by się przyjrzeć swemu narzeczonemu.

Wyobrażała go sobie jako starego i łysego, albo krzepkiego i włochatego, a także skąpego i prymitywnego. To ostatnie wyobrażenie wciąż jeszcze mogło okazać się prawdą, choć Mackenzie uznała reakcję mężczyzny za usprawiedliwioną, bo przecież został zaatakowany. Nie na wiele jej się to zdało. Miała wszystkiego dość. Dość strachu, obaw, upokorzeń.

Jego oczy były lśniące jak diamenty. Niebezpieczne. Tylko jedna rzecz powstrzymywała ją przed poddaniem się, przez prośbami go za wszystko i powrotem do Los Angeles. Nie mogła wrócić do tego miasta. Potrzebowała Abla Greene'a.

Jeszcze o tym nie wiedział; ale miał być ich zbawcą. Jego dom - ich sanktuarium. Wystarczyło, by stanął jej przed oczami jeden obraz - brata leżącego w kałuży krwi przed drzwiami ich mieszkania - by wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

Ostatnie kilkadziesiąt godzin tak ją jednak wykończyło, że z trudem panowała nad sobą, a co dopiero nad sytuacją.

Słowa, które nagle wydobyły się z jej ust, były tego najlepszym dowodem.

- Zdaję sobie sprawę, że nie znam tutejszych zwyczajów - zaczęła dziwnie piskliwym głosem - ale protestuję, nawet jeśli tutaj uważa się za normalne, że przyszedł pan młody szarpie kobietę, którą ma poślubić!

Ostatnie kilka słów wykrzyczała tak czystym altem, że niejedna śpiewaczka byłaby dumna z podobnego wyczynu. Nie panowała już nad sobą i dobrze o tym wiedziała. Cały strach i wszystkie lęki skumulowały się w tym wybuchu.

Wciągnęła powietrze głęboko w płuca i próbowała się uspokoić. Odzyskać zimną krew, Starła się nawet uśmiechnąć, ale kiedy napotkała wciąż gniewne spojrzenie Greene'a, zrobiła coś, co ją samą zdziwiło.

Z całej siły swego ważącego zaledwie czterdzieści siedem kilogramów ciała, wspomaganego strachem i niepewnością, odchyliła się do tyłu, zamachnęła i uderzyła Abła Greene'a w jego mocną, męską szczękę.

Ogarnęło ją zdziwienie i poczuła ból palca. Niewykluczone, że go złamała.

Ujrzała grubą żyłę pulsującą na szyi Greene'a. Drugą taką samą na skroni. I mimo że szumiało jej w uszach, usłyszała też wyraźne, prymitywne przekleństwo, którego nawet przy najlepszych chęciach nie można było uznać za powitanie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niezależnie od wszystkiego, Mackenzie musiała uznać to za dobry znak, że Greene nie oddał jej ciosu i nie zostawił ich na mrozie. Odnaleźli zagrzebane w śniegu worki a potem Abel w milczeniu zaprowadził ich do swej chaty.

W środku pokazał im, gdzie mogą przebrać się w suche rzeczy; a potem usadził ich na kanapie przy płonącym kominu. Wszystko to uczynił bez słowa czy nawet bezpośredniego spojrzenia w jej kierunku.

Bardzo jej to było ha rękę; Potrzebowała czasu, by dojść do siebie. Uświadomić sobie, że jest bezpieczna i jest jej ciepło, a w każdym razie wkrótce będzie. A co najważniejsze wreszcie dotarła co celu. Ona i Mark. Jeśli chce by; tak pozostało, musi wziąć się w garść.

Abel Green nie był zadowolony. I miał ku temu powody. Nie spodziewał się jej. A tym bardziej Marka.

I Mackenzie, i Mark wiedzieli, że napisał list odwołujący zaproszenie, który przyszedł tuż przed ich planowanym Wyjazdem z Los Angeles; Greene pisał, że się rozmyślił i że przeprasza;

Mackenzie nie mogła sobie pozwolić na luksus długiego namysłu. A wśród wielu rzeczy, z których powodu było jej przykro, na pierwszym miejscu był fakt, że rozpoczynają tę znajomość od kłamstwa. Było to sprzeczne z jej naturą. Gó-

towa była jednak posunąć się nawet do oszustwa, byleby tylko ocalić brata. Abel Greene nigdy się nie dowie, że dostała jego list. Dopóki będzie przekonany, że go nie otrzymała, jej obecność w jego domu będzie usprawiedliwiona. A zresztą na pewno da sobie radę.

Mackenzie zadrżała. Wiedziała, że nie mogą wrócić do Los Angeles. Nie mają do czego.

Ujęła w dłonie kubek z gorącą kawą, który podał jej Abel, i otuliła się grubym, ciepłym pledem. W milczeniu, spowodowanym częściowo szokiem, jaki ostatnio przeszła, ale i wrażeniem jakie robił na niej Abel Greene, przyglądała mu się uważnie.

Był zupełnie inny, niż się spodziewała. Nie przypominał też troglodyty, jakim się wydawał na pierwszy rzut oka. Choć jego milczenie i postura nadal były groźne, był jednym z najbardziej interesujących mężczyzn, jakich w życiu widziała.

Wysłuchując się w trzaskanie płonących drzew w kominku i szum wiatru za oknem, Mackenzie patrzyła, jak Abel krząta się po chacie, Miał na sobie stare, spłowiałe džinsy i flanelową koszulę, która otulała jego imponujące ciało jak zaborcza kobieta. A po dokładnym przyjrzeniu się można było stwierdzić, że jest to rzeczywiście mężczyzna, którego każda kobieta chciałaby zdobyć.

Choć Mackenzie miała zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, przy nikim nigdy nie czuła się jak karzełek. Dopiero teraz poczuła się mała, patrząc, jak Abel wkłada miękkie, irchowe mokasyny. Uznała, że musi mieć jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu i dziewięćdziesiąt kilo wagi. Jednak to nie jego potężna postura przyciągała najbardziej jej uwagę, gdy z kocią zręcznością poruszał się po pokoju, lecz włosy i niesamowitej urody twarz, którą okalały.

Spływały mu na plecy jak kruczoczarna zasłona, podtrzy-

mywane tylko granatową bandanką, którą przewiązał na czole. Uwypuklały idealne rysy jego twarzy - wystające kości policzkowe i prosty nos. Nawet przy krótkich włosach widać by było, że ten mężczyzna ma w sobie więcej niż parę kropli indiańskiej krwi. Łatwo można go sobie wyobrazić w samej tylko przepasce na biodrach, z oszczepem w ręku, jadącego konno, brzegiem polodowcowego jeziora.

Półtora piętrowa chata z miodowo-złotego drewna, wysokie pomieszczenia i otwarte przestrzenie świadczyły o tym, że Green miłuje swobodę. Z każdego miejsca widać było kamienny kominek, główny punkt wnętrza. Każde wolne miejsce zajmowały półki z książkami. Na sosnowej podłodze leżały niesamowicie kolorowe, ręcznie tkane dywany. Na ścianach wisiały liczne stare sztychy przedstawiające dziką przyrodę i dawne życie w tych okolicach.

Ale nad wszystkim dominowała wspaniała postać Abla Greene'a. Miał mocną szczękę, ale dzięki złotawej opaleniznie i wydatnym ustom w jego twarzy nie było surowości. Mackenzie nie dostrzegła też na niej złości, co najwyżej lekką irytację. Zresztą gdyby naprawdę był zły, nie siedzieliby teraz przy tym kominku. Na pewno bez wahania odesłałby ich oboje do domu.

Nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że jest to człowiek zdecydowany bronić nie tylko swej własności, ale i tego, kim i czym jest.

Zadrzała, kiedy oczy Abla, czarne jak głęboka, zimna jaskinia, przyłapały ją na przypatrywaniu się długiej bliźnie biegnącej od jego prawej skroni aż do podbródka. Zmieszała się, ale ciekawość zwyciężyła i nie spuściła wzroku.

Tyle w tym wszystkim było niewiadomych. Mackenzie nie

czuła się co prawda bezradna, sama umiała się o siebie troszczyć. W przeciwnym razie by tu nie przyjechała. Jest jednak drobną kobietą, a Mark, choć nadrabia miną, to tylko chłopiec. Są teraz sami z tym człowiekiem, który w każdej chwili może zademonstrować im swoją siłę. Już to zresztą zrobił. Choć trzeba mu przyznać, że chociaż sprowokowany, nie zrobił im krzywdy.

Mackenzie zawsze polegała na swojej intuicji. I to ona podpowiedziała jej, że wbrew pozorom jest to bardzo wrażliwy człowiek. Są bezpieczni z tym mężczyzną, który niedługo będzie jej mężem.

Mąż. Wypowiadając w myślach to słowo, poczuła jakiś dziwny skurcz w żołądku.

M ą ż. Zabrzmiało niepokojąco.

Zdawało się, że korespondencyjne narzeczzone zniknęły wraz z gorączką złota i pantalonami, lecz oto ona cofnęła ruch feministyczny o co najmniej sto lat. Zapomniała też o zdrowym rozsądku. Co prawda nie wpakowała się w tę sytuację zupełnie na ślepo, lecz najpierw dokładnie wszystko przemyślała. Kiedy w końcu pogodziła się z faktem, że jedynym rozwiązaniem jej kłopotów jest odpowiedź na ogłoszenie Greene'a, sprawdziła dołączone do niego referencje. Zapewniano ją w nich entuzjastycznie, że Abel Greene jest człowiekiem niezwykłym, niemal świętym. Autor listu był najwyraźniej przekonany, że Greene jak Chrystus zdolny jest chodzić po wodzie.

Mackenzie odpowiedziała na to ogłoszenie. Już i tak dawno temu pogodziła się z faktem, że małżeństwo nie zawsze musi łączyć się z miłością. Przekonała się też, że w Ameryce, wbrew powszechnej opinii, nie każdy odnosi sukces. Nie chciała jednak, by Mark przestał w to wszystko wierzyć. Pragnęła, by spróbował

wykorzystać swoją szansę. A to małżeństwo, które miało być zawarte tylko z rozsądku, pomoże mu to zrealizować.

Teraz jednak Mackenzie zupełnie zapomniała o kierujących nią motywach, bo zbyt była świadoma fizycznej obecności Abla Greene'a i... swojej na niego reakcji. Tego się, nie spodziewała, Chciała tylko uciec z Los Angeles.

Referencje, choć tak pochlebne, były dosyć ogólnikowe. Dowiedziała się z nich, że Greene ma „własną firmę” i że jest „opanowany”.

Dopiero teraz poznała szczegóły, w każdym razie te fizyczne.

Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewała się kogoś tak wysokiego, silnego i niebezpiecznego. Nie wiedziała, jak sobie z kimś takim poradzić. Brak jej było doświadczenia.

Ona sama była zupełnie zwyczajna. Jej krótkie, zmierzwiowane włosy z dużą dozą dobrej woli można by nazwać brązowymi. Nie pasowało do nich żadne z poetyckich określeń. Nie były kasztanowe lub miedziane, tylko po prostu brązowe. Jej kształty też bynajmniej nie były posągowe. Była niższa o piętnaście centymetrów od swego rozpuszczonego braciszka, lecz tak wąska w biodrach, że po podwinięciu nogawek spokojnie mogła nosić jego dzinsy.

Mark kategorycznie jednak zabraniał jej noszenia swych koszulek.

- Nie chcę, żebyś powypychała je swymi balonami - oznajmił zdecydowanie.

Miał rację, rzeczywiście miała piersi dojrzałej kobiety, tyle że i one mieściły się w biustonoszu zwanym potocznie trójką. Nic wielkiego. Oprócz zielonych oczu, które uważano za

wyjątkowe, nie było w niej nic ciekawego. W porównaniu z wyjątkowym człowiekiem, Ablem Greene'em, była tylko szarą myszką.

Abel musiał też być zdecydowany i uparty, bo umieszczając swoje ogłoszenie też przecież ryzykował. A Mackenzie postanowiła doprowadzić całą sprawę do końca. Nie miała wyboru. Musiała myśleć o Marku. Wyjeżdżając z Los Angeles, zatrzasnęła za sobą wszystkie drzwi. Oprócz jednych.

Otulając się szczelniej pledem, Mackenzie pocieszała się myślą, że choć powitanie, jakie zgotował im Abel, było chłodne i niechętnie, to jego chata jest cudownie ciepła i wygodna.

Mark zaś wciąż był tak samo zły i naburmuszony. Siedział w rogu kanapy i próbował naprawić radio, które zepsuł, rzucając nim w wilka.

Wilk. Mackenzie zadrżała i mocniej objęła kubek z gorącą kawą. Skrzywiła się, czując ból w palcu, który uszkodziła sobie, policzkując Abla, i spojrzała niepewnie na domniemanego wilka, zwiniętego na chodniczku przed kominkiem.

Na to nie była przygotowana.

- Mieszkasz z wilkiem - przerwała panującą ciszę.

Wypowiedziała te słowa z niedowierzaniem, częściowo będącym wynikiem jej dziwnej reakcji na obecność Abla.

Greene podał jej jeszcze jeden koc i dorzucił dREW do kominka.

- Naszata jest tylko półwilkiem.

- Tylko pół - powtórzyła ironicznie. - Kiedy to usłyszałam, od razu się lepiej poczułam. Czy to znaczy, że jeśli to bydlę uzna, że nie ma ochoty dzielić się ze mną ciepłem kominka, odgryzie mi tylko pół nogi?

Niektóre kobiety, kiedy są zdenerwowane, płaczą. Inne zamykają się w sobie. Mackenzie, niestety, robiła się wtedy

gadatliwa. Choć miał to być mechanizm obronny, nie zastanawiała się, co mówi, tylko plotła, co jej ślina na język przyniosła. Była nawet tego świadoma, lecz nie potrafiła przestać.

Czuła się zmęczona. Bolał ją palec. Rozgrzewające się dłonie i stopy piekły, bo wracało do nich życie. Burczało jej w brzuchu, dzięki czemu uświadomiła sobie, że ostatnią rzeczą, jaką jadła, był tłusty pączek o siódmej trzydzieści rano.

Spojrzała na Abła, świadoma panującego milczenia.

- Co takiego?

- To ona - odparł tonem, jakim nauczyciel poucza niezbyt pilnego ucznia.

Kiedy odpowiedziało mu jej pełne zdziwienia spojrzenie, spróbował jeszcze raz.

- Naszata... To ona. Suka.

- A więc mam szczęście. Może powinnam porozmawiać z nią jak kobieta z kobietą i przekonać, by dziś na kolację zamiast mnie i mojego brata zjadła kawałek wołowiny.

Greene spokojnie wzruszył swymi niesamowicie szerokimi ramionami.

- Nie musisz się bać Naszaty.

- Bardzo cię przepraszam - pisnęła Mackenzie, bo tylko taki głos była w stanie z siebie wydać. Otuliła się kocem.

- Wychowano mnie w przekonaniu, że „miłe psiaczki” nie warczą niskim, dzikim głosem i nie szczerzą kłów.

Tak samo jak twoje ponure spojrzenie nie zapowiada bynajmniej „długiego i szczęśliwego życia”, pomyślała z żalem.

Tylko obawa, że Abel zechce się ich pozbyć, powstrzymała ją przed powiedzeniem tego na głos. Choć niepokoiła ją świadomość, że mogłaby rzeczywiście poślubić tego ponurego,

pięknego mężczyznę, jeszcze bardziej przerażała ją myśl, że Greene może ich odesłać do Los Angeles.

Kiedy znów ośmieliła się na niego spojrzeć, zauważyła, że na jego twarzy nie ma już irytacji, lecz zamyślenie. Jego delikatny głos wzbudził w niej iskierkę nadziei.

- Ona po prostu broniła swego terenu. - Jego spojrzenie na moment powędrowało do psa, lecz szybko wróciło do Mackenzie. - Teraz, kiedy wie, że was zaakceptowałem, zrobiła to samo.

Mackenzie w milczeniu przyglądała się ogromnej półwilczycy, która wydała prawie ludzki odgłos i rozciągnęła się jak długa na dywaniku.

Musiała przyznać, że tutaj, w ciepłej chaty, wyciągnięta leniwie przed kominkiem suka rzeczywiście wcale nie wyglądała na niebezpieczną. Wciąż jednak brzmiało jej w uszach jedno słowo: „zaakceptowałem”. Greene użył go w stosunku do niej. Od razu lepiej się poczuła. Tego jej właśnie było trzeba. Akceptacji.

Mackenzie oparła się wygodnie o tył kanapy i obdarzyła Abła pojednawczym uśmiechem.

- Wiesz, że chyba masz rację. Rzeczywiście Naszata wygląda na zbyt dobrze karmioną, by chcieć pożreć kogoś tak chudego, jak ja i mój brat.

Porzuciła nadzieję, że odwzajemni jej uśmiech. I miała rację.

- Za dwa dni się szczeni.

- Szczeni? - Mackenzie rzuciła okiem na sukę, potem z powrotem na Greene'a. - To... to znaczy, że będzie miała małe?

Abel skinął głową, przyklęknął obok Naszaty i zaczął głaszać jej kark.

Nic dziwnego, że był taki zły, kiedy zaatakowali Naszatę.

Rzucali przecież różnymi przedmiotami w ciężarną sukę. Radio omal nie trafiło jej w brzuch.

Przytrzymując koc, Mackenzie nachyliła się i spojrzała Ablowi prosto w oczy.

- Nic jej nie jest?

- Nie zrobiłem żadnej krzywdy temu cholernemu psu - wtrącił się ostro Mark.

Do tej pory milczał i całkowicie ich ignorował. Spojrzał z urazą na sukę, a potem skierował swą złość na Greene'a.

- Przez tego kundla mam zepsute radio.

- Mark - zaczęła ostrzegawczo Mackenzie.

Wiedziała, że brat tylko udaje obojętność wobec stanu

zdrowia psa. Jako mały chłopiec wciąż znosił do domu bezdomne koty i poił je mlekiem.

- Odczep się ode mnie! - zareagował natychmiast Mark.

- W ogóle się do mnie nie odzywaj!

Zrzucając zepsute radio na podłogę, zerwał się z kanapy i szybkim krokiem podszedł do okna. Jej twardy, udający dorosłego mężczyznę braciszek odwrócił się jednak o ułamek sekundy za późno. Mackenzie zauważyła małą srebrną kropelkę błyszczącą na jego rzęsach. Choć tak na nią nakrzyczał, było jej go żal.

- Nienawidzę tego! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Dlaczego kazałaś mi tu przyjechać? Przecież to, kurczę, zupełnie odludzie! Pozbawiasz mnie wszystkiego, co znam i... i co dajesz w zamian? - Mark odwrócił się i spojrzał na Ablę i Naszatę. - Mad Maxa i ciężarną wilczycę?

Spoglądając z furią na Mackenzie, Mark zaklął siarczyście pod nosem.

- To radio było moim jedynym kontaktem z cywilizacją, a teraz nie mam nawet tego!

Zerwał ze stojącego przy drzwiach wieszaka kurtkę, wsunął stopy w swoje potężne buciory i wybiegł na dwór. W szalejącą burzę.

Mackenzie była zbyt zmęczona, by zareagować na postępek brata. Mogła tylko patrzeć i zastanawiać się, czy kiedykolwiek uda jej się uleczyć ową bolesną ranę, jątrzącą się w tym drobnym, zbuntowanym ciele. I jak, mimo zachowania Marka, uda jej się przekonać Abła, że to, co mu proponuje, to szansa na poprawę jego życia.

Jeszcze długo po wyjściu chłopca Abel wpatrywał się w drzwi. W końcu niechętnie przeniósł wzrok na zwiniętą na kanapie Mackenzie Kincaid. Wybuch gniewu brata wyraźnie sprawił jej ból.

Przypomniał sobie chłodno, że to nie jego problem. A w każdym razie nie miał zamiaru mieć w związku z tym żadnych wyrzutów sumienia. Nie chciał też zauważyć, że Mackenzie, która tak dzielnie radziła sobie ze śnieżycą, a potem przyładowała mu w szczękę, w obliczu gniewu tego chłopaka stała się zupełnie bezradną.

W zamyśleniu pocierał podbródek. Wciąż jeszcze pulsował po zetknięciu z drobną pięścią Mackenzie. A on nadal złorzeczył samemu sobie, że wpakował siebie i ją w tak niezręczną sytuację.

Przeklinał swego przyjaciela J.D. Hazarda za jego głupi pomysł. A także pocztę Stanów Zjednoczonych, która najwyraźniej nie dostarczyła na czas jego listu, odwołującego zaproszenie. W końcu jednak nie mógł winić nikogo, tylko siebie. Może to rzeczywiście J.D. nacisnął odpowiedni guzik, a whisky, którą wspólnie wypili tamtej fatalnej nocy, osłabiła jego czujność, ale to on był wszystkiemu winien.

Uległ słabości, a teraz musiał wypić piwo, którego sobie narządził.

Ci dwoje nie mogą tu zostać, to jasne. Nie mogą też odejść. W każdym razie nie dzisiaj. Nie w taką burzę. Jutro z samego rana przedstawi Mackenzie całą sytuację. Przykro mu, że przebyła wraz z bratem taką drogę. Nie jego wina, że nie otrzymała listu, w którym wszystko odwoływał. Ta dumna dziewczyna bez wątpienia zgodzi się pojechać do Bordertown i wsiąść do autobusu, który zawiezie ją i jej brata do Los Angeles.

W chacie zapanowała nieprzyjemna cisza. Abel miał zamiar ignorować Mackenzie, lecz kiedy przerażona dziewczyna wstała z wyraźnym zamiarem udania się na poszukiwania brata, zareagował.

- Nic mu nie będzie - stwierdził. Nie mógł oderwać wzroku od zielonych jak wiosenna trawa oczu Mackenzie.

- Zamarznie tam na śmierć.

W jej głosie brzmiała troska, ale i zmęczenie. To samo, które widział w jej oczach. Była zbyt młoda, by patrzeć na świat oczyma starego człowieka. I zbyt wyczerpana, by niewyparzony język i dumne uniesienie brody zdołały ukryć jej słabość.

Abel wcale nie był zachwycony, że tak się nią przejmuje, było to jednak silniejsze od niego.

- Wróci dużo szybciej, zobaczysz.

Mackenzie znów spojrzała na drzwi.

- Może zabłądzić.

- Na to też jest zbyt sprytny. Nic złego mu się nie stanie - powiedział tak łagodnie, że aż go to zdziwiło. - Mała przechadzka pomoże mu się uspokoić.

Mackenzie pokręciła głową, a w kąciakach jej ust pojawił się leciutki uśmiech.

- Nawet gdyby przeszedł całą drogę do Los Angeles, nie pozbędzie się tej złości, która w nim jest.

- To dlaczego, do cholery, go tu przywiołaś?

To pytanie samo wyrwało mu się z ust. Natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Nie chciał wiedzieć, czemu się tu znaleźli. Nie chciał nic o niej wiedzieć ,dopóki nie uniosła głowy i znów nie spojrzała na niego tymi zielonymi oczami.

- Może z tych samych powodów, dla których ty zamieściłeś w prasie swoje ogłoszenie.

Miała niesamowitą intuicję; Nie tylko oznajmiła Ablowi, że przywiodła ją tu rozpacz, ale i dała mu do zrozumienia, że wie, iż on także z rozpaczny zamieścił swoje ogłoszenie.

Abel mocno zacisnął usta. Był zły, że tak łatwo go rozszyfrowała. To, że on zrozumiał ją, podobało mu się, jeszcze mniej. Ta dziewczyna ma może niewyparzony język, ale w jej oczach kryje się jakaś tajemnica i smutek.

Był pewien, że od czegoś ucieka. Nie chciał jednak wiedzieć, od czego. Niewiedza nie jest może błogosławieństwem, ale pomaga zachować dystans. A dystans: jest jedyną rzeczą, jaka powinna istnieć między nimi.

Kiedy Mackenzie wstała i podtrzymała się oparciem kanapy, by nie upaść, Abel zaklął pod nosem.

- Czy pozwolisz, że jednak dokończymy tę rozmowę na siedząco?

Był tak zajęty nieprzyznawaniem się do faktu, że Mackenzie na niego działa, że nie zauważył tego, co najbardziej rzucało się w oczy. Ta dziewczyna była wykończona. Kiedy ją znalazł, była przecież przemarznięta do szpiku kości.

- Usiądź - rozkazał ostro. - Musisz coś zjeść.

A on potrzebował przestrzeni. I czasu, by postanowić, co z nią zrobić.

Od razu stracił resztki dobrego humoru. Jeszcze przed chwilą wiedział dokładnie, co robi. Odeśle ją z powrotem do Los Angeles.

Ale to było przed chwilą. Zanim spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich ból tak bardzo podobny do swego własnego.

Obserwował Mackenzie z kuchni, podgrzewając gulasz, i wbrew sobie podziwiał jej charakter. Mogłaby, a nawet powinna, skarżyć się na wszystko, od zimna po jego niemiłe towarzystwo. A jednak nie powiedziała ani słowa. Zwinęła się tylko w kłębek i otuliła kocami.

Nie mając nic lepszego do roboty, jeszcze raz przeklął J.D. Hazzarda. Od kiedy poślubił Maggie Adams, stara się i jemu znaleźć jakąś kobietę.

- Żebyś też zaznał takiego szczęścia - powtarza przyjaciel, ilekroć dzwoni do Abła z Minneapolis, gdzie przez większość czasu mieszkają wraz z Maggie, by J.D. mógł doglądać swej firmy lotniczej, a Maggie zajmować się nowym atelier fotograficznym.

- Małżeństwo z Maggie to najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła - mówi J.D., kiedy przyjeżdża nad jezioro, i z zachwytem patrzy na swą żonę.

Małżeństwo z J.D. było także najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła się w życiu Maggie. Kiedy minionej wiosny Abel natknął się na nią w tej małej chatce w sąsiedniej zatoczce, przypominała sarnę, sparaliżowaną blaskiem reflektorów. Ukrywała się i bała własnego cienia. Kiedy J.D. dosłownie spadł z nieba swym hydroplanem, zmienił całe jej życie.

I chwala Bogu, że mu się to udało. Maggie była jedną z niewielu osób znad jeziora, które Abel nazywał przyjaciółmi. Po bitwie, jaką w ubiegłym roku razem stoczyli z polują-

cymi na niedźwiedzie groźnymi kłusownikami, także J.D. zalicza się do tej kategorii

Ale, niezależnie od przyjaźni, gdyby w tej chwili J.D; znalazł się w zasięgu jego ręki, ten blondynek o twarzy cherubina zapłaciłby mu za to, że wplątał go w tę skomplikowaną sytuację.

Niewiele miał do zaoferowania kobiecie, szczególnie kobiecie takiej jak Mackenzie. W każdym razie nic wartościowego. Żadna kobieta - nawet ta, która była aż tak głupia, że odpowiedziała na jego ogłoszenie - nie zasługuje na los, jaki czekają u jego boku.

Może i jest porywca. Fakt, że się tutaj znajduje, jest tego dowodem. Ale mimo mądrości, jaką widzi w jej oczach, jest przekonany o jej niewinności. Niewinność zasługuje na nagrodę, a nie na karę. Choćby nie wiem jak było to kuszące, nie zatrzyma jej przy sobie. I choć zapewne tego się po nim ta dziewczyna spodziewa, nie rozwiąże problemu, przed którym uciekła z Los Angeles.

Kiedy gulasz był już gorący, napełnił miseczkę i podał ją Mackenzie. Podziękowała mu, ale nie zaczęła jeść. Grzebała w misce widelcem i co chwila z niepokojem spoglądała na drzwi,

Jeszcze zanim mu o tym powiedziała, Abel zauważył, że chłopiec, z którym przyjechała, jest jej bratem. Więzy krwi były wyraźnie widoczne; To nie była tylko wyjątkowa zieleń ich oczu czy cynamonowy brąz włosów. Rysy twarzy chłopca, choć nieco bardziej wyostrome, stanowiły dokładną replikę jej rysów.

Choć wcale tego nie chciał, obserwował Mackenzie, kiedy w końcu zaczęła jeść. Była delikatna i drobniutka. W pewien sposób podobna do ptaszka: Nawet nie wiedział, skąd wpadło

mu do głowy to porównanie. Może sprawiły to jej pełne gracji ruchy, a może bezbronność.

Irytował go zachwyt, który ogarniał go, gdy patrzył na jej oczy i wciąż jeszcze zarumienione od mrozu różane policzki. I choć postanowił przecież, że jutro z samego rana odeśle ją tam, skąd przyjechała, nie mógł zignorować rosnącej fascynacji, kragłością jej ciała, widoczną pod luźnym przecież dresem.

Był przez cały czas świadomy jej obecności. Nie chciał zastanawiać się, dlaczego, ale sprawiała, że nastrój panujący w chacie stawał się zupełnie inny. Nawet cienie, rzucane przez meble, zazwyczaj ostre i wyraźne stawały się miękkie i łagodnie.

- Jeśli chłopiec nie wróci za dziesięć minut, pójdę go poszukać - rzekł, częściowo po to, by przerwać panujące milczenie, ale także by powstrzymać swe myśli biegnące w niebezpiecznym kierunku.

Mackenzie zdawała się usatysfakcjonowana jego propozycją.

To jednak, co odczuwał on, kiedy na nią patrzył, z trudem nazwać by można zadowoleniem.

Kiedy dziesięć minut później Mark wrócił do chaty, Mackenzie spała. Zapach koni i siana, który chłopak wniósł ze sobą, powiedział Ablowi, że mały znalazł stajnię, a w niej parę czarnych belgijskich klaczy. Spokojny charakter koni i ostry zimowy wiatr wybiły Markowi z głowy ochotę do walki. Był tak samo wykończony jak jego siostra.

Abel nie budził jej. Zostawił ją zwiniętą na kanapie i w milczeniu nakarmił chłopca, zaprowadził go do łazienki, a potem dał mu śpiwór i poduszkę i Wskazał drogę na poddasze.

Markowi starczyło sił tylko na to, by wspiać się po schodach. Wsunął się do śpiwora i natychmiast zasnął.

Abel nawet nie myślał o śnie.

Usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy i wpatrywał się w Mackenzie Kincaid.

Gdy zamruczała przez sen i poruszyła się, dobiegł go jej zapach słodki, egzotyczny zapach kobiety; Jego męskość zareagowała natychmiast, przypominając, czego najbardziej mu w życiu brakuje;

Już od bardzo dawna nie miał kobiety.

A Mackenzie była wyjątkowa, tak bardzo niepodobna do tych, które znał do tej pory.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- Purpurowy Wodospad do Greene'a. Odezwił się, Abel. Tu Casey. Jak tam nasza maleńka? Jest już mamą? Odbiór.

Trzaski i stłumiony żeński głos obudziły Mackenzie. Naciągnęła koc na głowę i wtuliła się mocniej w poduszkę, próbując to zignorować.

- Hej, Abel. Odezwił się. Mama się niepokoi, jak dajesz sobie radę podczas tej burzy, a ja martwię się o Naszatę. Odbiór.

Mackenzie otworzyła jedno oko. No, dobrze. A więc nie da się tego zignorować, pomyślała, kiedy głos, który rozpoznała jako głos dziewczynki, odezwał się znów, tym razem głośniej i bardziej zdecydowanie.

Rozprostowała ostrożnie obolałe członki i usiadła. Przechesała palcami krótkie włosy, skrzywiła się, czując ból w prawej ręce i zmrużywszy oczy, rozejrzała się dokoła, szukając źródła głosu.

Prawie natychmiast uświadomiła sobie, że Kalifornia jest parę tysięcy kilometrów stąd, a ona właśnie spędziła noc na kanapie w domu mężczyzny, którego nie zna, ale którego wkrótce poślubi. Wiedziała tylko, że Abel Greene ma niesamowicie twardą szczękę.

- Abel, jesteś tam? Odbiór.

Głos brzmiał sympatycznie, lecz był coraz bardziej poiry-

towany. Dochodził z pomieszczenia, do którego prowadziły niewielkie drzwi pod schodami na poddasze. Mackenzie wstała niechętnie i poczłapała w jego kierunku.

Pokój wyglądał na gabinet. Były w nim dwie szafki z segregatorami i długie półki zapchane książkami, pismami, rolkami papieru i różnymi rysunkami.

W miejscu, gdzie przez okna wpadało najwięcej światła, stał stół kreślarski. Na stojącym w rogu starym sosnowym biurku znajdował się komputer, telefon, faks i coś, co wyglądało na krótkofalówkę.

Wszystko to było oczywiście bardzo interesujące, ale Mackenzie najbardziej zaskoczył fakt, że przy tym biurku siedział Mark i oglądał krótkofalówkę, a u jego bosych stóp leżała Naszata.

- Abel, odezwij się. Powiedz cokolwiek. Odbiór.

Mackenzie już chciała sama obejrzeć radio, kiedy Mark znalazł przełącznik, nacisnął go i nachylił się do mikrofonu.

- Nie ma go tu.

Mackenzie nie zdążyła go nawet skarcić za niegrzeczne odezwanie się, kiedy znów usłyszała ten sam dziewczęcy głos.

- Czy to dom Abła Greene'a? Odbiór.

- Przecież nie Micka Jaggera.

Mackenzie zamknęła oczy i pokręciła głową, ale, sama nie wiedząc czemu, znów nie zareagowała.

Po chwili milczenia dziewczynka odezwała się znowu.

- Kim jesteś... i gdzie jest Abel? Odbiór.

- Kim ty jesteś, a poza tym skąd mam wiedzieć, gdzie jest Abel? Odbiór.

- Nie musisz być taki nieuprzejmy - burknęła dziewczynka. - Odbiór.

- A ty taka zła. Jeśli chcesz wiedzieć, przed chwilą mnie obudziłaś.

- O rany! Przepraszam. Odbiór.

Masz, czego chciałeś, ucieszyła się w duchu Mackenzie. Mark był odwrócony do niej tyłem, ale przechylił nieco głowę, więc zauważyła w kąciку jego ust leciutki, cyniczny uśmieszek. Wyraźnie bawiło go, że dziewczyna nie daje się zbić z pantałyku.

- No, więc jak masz na imię, malutka?

Mackenzie, wciąż stojąca w progu, wzniosła oczy do góry. A więc hormony zaczęły już działać w organizmie chłopca. Każda matka, a w tym przypadku także siostra, boi się tego momentu, gdyż zwykle oznacza on początek kłopotów wychowawczych.

- Chciałbyś wiedzieć, co? Odbiór - brzmiała ostra, lecz zalotna odpowiedź.

- Niekoniecznie. Ale lepsze to niż gapienie się na tego psa, śliniącego się u moich stóp.

- Naszata? Czy Naszata jest z tobą? Odbiór.

- Taak - mruknął Mark, nieudolnie udając zde gustowanego. - Jest tu ten kundel.

- Jak się czuje? Urodziła już szczeniaczki? Odbiór.

W głosie dziewczynki brzmiał wyraźny niepokój. Mark, o dziwo, postanowił ją uspokoić.

- Nic jej nie jest - odparł i nie wiedząc, że jest obserwowany, pochylił się i pogładził sukę po głowie.

Mackenzie położyła dłoń na sercu, bo nagle ogarnęło ją wzruszenie. A kiedy znów spojrzała na brata, w jej oczach błyszczały łzy. Tym razem były to łzy nadziei, a nie złości, gniewu czy strachu.

- A co do szceniaków - mówił dalej, wracając do roli

twardziela - to nie, jeszcze nie urodziła tych swoich bachorów. Zresztą, co cię to obchodzi?

- Jesteś beznadziejny, wiesz? Odbiór.

- Ty też.

Mackenzie westchnęła. A więc nie ma szans na przyjazne stosunki z sąsiadami.

Choć nigdy by się do tego nie przyznał, Mark znakomicie się bawił tym słownym pojedynkiem. Kiedy dziewczynką zamilkła, Mackenzie wyczuła, że jest rozczarowany.

- O co chodzi? - spytał, próbując wciągnąć ją w dalszą rozmowę. - Przestraszyłaś się, malutka?

- Przepraszam bardzo, z kim rozmawiam?

Jakiś nowy głos włączył się do rozmowy. Choć również brzmiał sympatycznie, był to jednak głos dojrzałej kobiety

Mackenzie błyskawicznie oderwała się od framugi i chwyciła mikrofon, zanim Mark zdążył obrazić kolejną nieznaną osobę;

- Który przycisk? - spytała, zastanawiając się równocześnie, jak załagodzić całą sprawę. - Mówi Mackenzie Kincaid, a ten uroczy młody człowiek, który przed chwilą obraził tę młodą damę, to mój młodszy brat. Przepraszam za jego niegrzeczne zachowanie. Os...ostatnio ma sporo problemów.

Ma sporo problemów, powtórzyła w duchu i skrzywiła się. Było to bardzo nieścisle stwierdzenie.

- Cześć, Mackenzie. Tu Scarlett Morgan, a ta pyskata primadonna, którą twój brat obraził, to moja córka, Casey. Nie przejmuj się tym. To nie nasza wina, że dzieciaki tak się czasem zachowują. Odbiór.

Siadając na krześle, które zwolnił Mark, Mackenzie trochę się uspokoiła. Podobała jej się ta kobieta i jej tolerancja.

- Masz rację.
- No, więc, Mackenzie, jest tam Abel? Odbiór.

Jeszcze zanim się nad nią nachylił, całą sobą poczuła jego obecność.

Spojrzała przez ramię i ujrzała go stojącego tuż obok, Wyglądał dokładnie tak samo, jak poprzedniego wieczora. Był potężnie zbudowany i bardzo piękny.

Kiedy sięgnął do radia, włosy, które związał na karku, przesunęły mu się przez ramię i-musnęły blat biurka. Jego pierś dotknęła pleców Mackenzie, która nagle zdrząła.

Pachniał rześkim, zimowym powietrzem i ciepłym, cedrowym dymem. Zrozumiała że właśnie wrócił z dworu, lecz zdążył jeszcze rozpać ogień w kominku. Promieniowało od niego gorąco i siła.

Kiedy wyjmował jej z ręki mikrofon, poczuła wstrząs, jak-by przeszył ją prąd. Zerwała się z krzesła, przyciskając do siebie wciąż pulsującą rękę.

Nie mogła oderwać ód niego wzroku. Przyglądała mu się, jak- ignorując jej obecność, mówi do mikrofonu.

- Witaj; Scarlett; Jak tam sprawy w Purpurowym Wodospadzie? Trzymasz się jakoś? Odbiór.

Znowu ogarnęło ją jakieś dziwne nieznane uczucie. Wywołały je nie tyle jego słowa, ile ton całej rozmowy, Tym uczuciem była zazdrość. Choć ją to zaskoczyło i było zupełnie bez sensu nie próbowała nawet udawać, że nie dostrzega czy nie rozumie tego uczucia;

W słowach, wypowiedzianych do nie znanej Mackenzie kobiety, było tyle czułości, troski i szacunku. Przypomniała sobie w jaki sposób poprzedniego wieczora zwracał się do niej, i rozumiała, jak niepewna jest jej sytuacja.

- U mnie wszystko dobrze, Abel. Straszna ta zamieć, co?

Chyba jeszcze nigdy o tej porze roku tyle tu nie napadało śniegu. Odbiór,

- Zdaje się, że czeka nas długa zima - odparł Abel, spoglądając przez okno. - Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

Odbiór

- Nie ma sprawy. Mamy mnóstwo drewna. Zrobiłam też zapasy, więc mimo że telefony wysiadły, dzięki radiu chyba nie zwariujemy. Odbiór.

- Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Był to wyraźny rozkaz. Naprawdę lubił tę kobietę i jej córkę. I najwidoczniej nie było w ich życiu żadnego innego mężczyzny, który mógłby się nimi zająć.

- Na pewno. A co tam u ciebie? Casey mówi, że Naszata jeszcze nie urodziła szceniąt. Odbiór.

- Niedługo urodzi. Powiedz Casey, żeby się nie martwiła. Ona pierwsza będzie sobie mogła wybrać szczeniaka. Odezwę się, jak tylko małe przyjdą na świat. Odbiór.

- A jak ty się masz, Abel? Czy Mackenzie to... ten gość, o którym mówił mi J.D.?

Przysłuchując się w milczeniu rozmowie, Mackenzie do-
dała dwa do dwóch i wszystko zrozumiała. Scarlett Morgan
na pewno ma na myśli J.D. Hazzarda. To J.D. i jego żona,
Maggie Hazzard, wymienieni byli w ogłoszeniu Abła, jako ci,
którzy mogą dać mu referencje. Z pewnością Scarlett też jest
przyjaciółką J.D. A jej zainteresowanie i ciepły ton świadczy-
ły, że jest wtajemniczona w projekt małżeństwa z ogłoszenia.

Mackenzie wstrzymała dechła czekając na odpowiedź Abła.

- J.D. Hazzard ma długi język - mruknął.

- I złote serce - przypomniała mu ze śmiechem Scarlett.

- Założę się, że ten człowiek nie spocznie, dopóki nas obojga
nie pożeni i...

- Pannę Kincaid i jej brata zaskoczyła burza - przerwał jej Abel, ucinając dalszą rozmowę o małżeństwie. - Zdaje się, że matka natura czasami nie przebiera w środkach. Odbiór.

W Mackenzie zamarło serce. Straciła już prawie resztę nadziei. Abel wyraźnie dawał Scarlett do zrozumienia, że obecność jej i Marka w jego domu jest czystym przypadkiem. I niczym więcej. Nie chciał, by Scarlett sądziła, że jest inaczej.

Scarlett też była rozczarowana. Odezwała się dopiero po długim milczeniu.

- No, tak. Cóż... Miałam nadzieję, że może... no, wiesz. Abel uderzył mocno w przełącznik.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić, Scarlett? Odbiór.

Nie trzeba było być psychologiem, by wyczuć, że Abel chce zakończyć tę rozmowę. Scarlett zrozumiała aluzję.

- Nie - odparła ostrożnie. - Jak już mówiłam, dajemy sobie radę. Ale może my mogłybyśmy coś dla ciebie zrobić. Wiem, że nie jesteś przygotowany na niespodziewanych gości. Może chciałbyś przywieźć pannę Kincaid i jej brata tu; do hotelu? Mogą poczekać w Purpurowym Wodospadzie, aż burza się uspokoi. Odbiór.

No, właśnie. Abel ma teraz szansę, by się ich pozbyć, pomyślała Mackenzie.

- Nie ma mowy - odparł szybko ku jej zdziwieniu. - Dopóki ta zawierucha nie ustanie, nikt nigdzie nie pojedzie. Ty też przypadkiem nie wychodź na zewnątrz. Chyba że będzie to konieczne, ale i wtedy tylko na chwilę. I niech Casey nie wpadnie do głowy użyć skutera śnieżnego, dopóki nie przestanie sypać i wiać. Zabłądziłaby natychmiast i zamarzyła na śmierć, zanim ktokolwiek by ją znalazł. Odbiór.

Odpowiedział mu najpierw delikatny śmiech.

- Mówisz dokładnie to, co J.D. Niedawno się ze mną łączył. O, właśnie, wiedziałeś, że on i Maggie są w swojej chacie? Przyjechali z miasta na dłuższy weekend. Dotarli tu tuż przed burzą. I J.D. od razu sprawdził, czy u nas wszystko w porządku. Powiem ci to samo, co jemu - nie potrzebujemy żadnych opiekunów. Ja i Casey znakomicie same dajemy sobie radę. Odbiór.

- Chciałem się tylko upewnić. Odbiór.

- Mackenzie - mówiła dalej Scarlett, zwracając się teraz do gościa Abła. - Jeśli już było ci pisane, że złapie cię ta burza, to nie mogłaś trafić na lepszego ratownika niż Abel. Na pewno dobrze się tobą zaopiekuje. Odbiór.

Z niechętną miną Abel podał Mackenzie mikrofon. Tym razem bardzo się starał, by nie dotknąć jej ręki.

- Dzięki, Scarlett - odparła z wahaniem Mackenzie. - Będę o tym pamiętać.

- I nie bój się go. To tylko pozory. W gruncie rzeczy jest łagodny jak baranek. Odbiór.

- Dzięki. Postaram się nie bać, kiedy znów zaczniesz mnie warczeć.

Scarlett roześmiała się.

- Dobra dziewczynka. Coś mi mówi, że dasz sobie z nim radę. A tak przy okazji, skąd jesteś? Odbiór.

- Z Kalifornii - odparła bez namysłu. A kiedy zobaczyła minę Abła, natychmiast się stropiła.

- Z Kalifornii? - zdziwiła się szczerze Scarlett i na moment zamilkła. - Abel... Myślałam, że... J.D. mówił...

Nie skończyła, bo Abel przejął mikrofon.

- Pora kończyć. Nie będziemy dłużej gawędzić, bo ktoś może wzywać pomocy. Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Bez odbioru.

Nacisnął przycisk, przerwał połączenie i odsunął się od biurka. Zrobił to tak szybko, że Mackenzie poczuła powiew chłodnego, powietrza. Wyobraziła sobie, jak bardzo Scarlett musiała się zdziwić jego nagłą reakcją.

- Czemu czuję się, jakbym była jakąś podejrzaną osobą, o której nikt nie chce rozmawiać? - mruknęła pod nosem.

W dodatku miała wrażenie, że nie tylko J.D. i Maggie Hazzardowie, ale i Scarlett chciałyby, żeby Abel Greene dołączył do grona szczęśliwych małżonków.

Postanowiła to zapamiętać. Ta informacja może jej się przydać, gdyby Abel nie chciał dotrzymać warunków umowy. Hazzardowie i Scarlett mogą się okazać jej sojusznikami.

Odwróciła się, by wyjść z pokoju i... wpadła na twardą kłatkę piersiową Abela Greene'a.

Wyciągnął ręce, by ją podtrzymać, ale było za późno. Mackenzie oparła się o niego całą sobą. Poczuła jego silne dłonie na swoich ramionach. Ciepło jego ciała. Zapach. Jego siłę, ale i delikatność. Szybkie, dudniące bicie serca.

Odetchnęła głęboko. Kiedy rytm jej serca wrócił do normy, odważyła się na niego spojrzeć.

Oczy miał zamknięte, a jego ręce na moment zacisnęły się mocniej na jej ramionach. Potem puścił ją i odsunął od siebie.

- Musimy porozmawiać.

Jego głos był głuchy i stłumiony. Otworzył oczy i spojrzał, ale nie na nią, lecz gdzieś ponad jej głową. Mackenzie wolno skinęła głową.

- Masz rację - odparła ostrożnie. - Musimy. Ale może najpierw mogłabym wziąć prysznic? Mięśnie mi zeszywniały i ciepła woda powinna pomóc.

Jego oczy zaszły leciutką mgłą i Mackenzie gotowa była

się założyć, że wyobraża ją sobie w kąpielni i zastanawia się, czy do niej nie dołączyć.

Prawie natychmiast na jego twarz wrócił ten sam poważny grymas.

- Dobrze. Wykąp się. Ręczniki są w szafce pod umywalką. Odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju.

Zarówno przed służbą w marynarce, jak i w ciągu dziesięciu lat, odkąd z niej wystąpił, już nie raz znajdował się w trudnej sytuacji. Wojna w Zatoce go ominęła, ale wojna narkotykowa nie. Najpierw był tajnym agentem, później na jakiś czas związał się z CIA, w końcu zaś zaczął oferować swoje usługi krajom, które gotowe mu były za nie zapłacić.

Nigdy jednak nie czuł się tak bezbronny, jak przed dwiema minutami, kiedy trzymał w ramionach tę drobną, zielonooką kobietę.

W zamyśleniu dźgnął pogrzebaczem polano w kominku. Walka, czy to na polu bitwy, czy na zakazanych uliczkach, w kiepskich barach czy w dżungli, nigdy go nie przerażała. Walka to praca. Ktoś chce cię zabić. Ty się bronisz. Ale kiedy trzymał w ramionach smutnooką Mackenzie Kincaid, czuł, że ogarnia go lęk.

Poprzedniej nocy miał się nad czym zastanawiać. Kiedy chłopiec poszedł spać na górę, siedział przy kominku, wsłuchiwał się w wiatr i śnieg uderzający o szyby. Niezbyt się zdziwił, kiedy Naszata wstała ze swego legowiska przy ogniu, wolniutko i ostrożnie wspięła się na strych i ułożyła na śpiworze obok Marka.

Ona też wyczuła, że chłopiec potrzebuje czułości. Jej reakcja była instynktowna.

Mark był tak zmęczony, że stracił czujność i z radością przyjął towarzystwo zwierzęcia. Abel doskonale rozumiał ma-

łego. Nie znalazł powodu jego gniewu na cały świat, ale czuł, jaki jest wielki. Sam był buntownikiem w jego wieku, nawet i teraz trochę pozostało z tej młodzieńczej awanturniczości. Współczuł Markowi wbrew sobie. Tej kobiecie także.

Kobiecie! Kiedy w końcu położył się do łóżka, próbował przekonać samego siebie, że nie pragnie, by ktokolwiek naruszał jego prywatność. Że wcale nie chce, by jakieś inne serce było cichutko w jego domu i czyjekolwiek ciało dzieliło z nim przestrzeń, ciepło i ciszę.

Problem polegał na tym, że obecność Mackenzie w jego domu uświadomiła mu, czego mu brak i jak bardzo czuje się samotny. To przecież dlatego załamała się i pozwolił J.D. umieścić w prasie to ogłoszenie.

Odstawił pogrzebacza na miejsce, a jego myśli wbrew woli wróciły do Mackenzie Kincaid. Do jej miękkiego ciała, szcuplej figury, do losu, który ją mu zesłał, Zastanawiał się, czy mimo współczucia dla zbuntowanego brata Mackenzie i groźby wiszącej nad jego własną firmą, będzie miał na tyle rozsądku, by odesłać tę kobietę z powrotem do Los Angeles.

Zastanawiał się nad swoim dotychczasowym życiem i nad przyszłością, która najprawdopodobniej będzie taka sama jak przeszłość. Miał trzydzieści pięć lat. I zawsze do tej pory był lub czuł się samotny. Kiedy wiele lat temu, jako zbuntowany osiemnastolatek opuszczał rodzinne strony, był przekonany, że zawsze był i będzie samotnikiem. Chciał zniknąć stąd na zawsze. Wrócił, kiedy znalazł się w sytuacji przymusowej., I dopiero wówczas, kiedy samotność zaczęła mu doskwierać, dał się namówić ha to idiotyczne ogłoszenie.

- A ty, zielonooka? - szepnął, wpatrując się w ogień i widząc w nim te niesamowite oczy, które tak go urzekły. - Czy

ty też dlatego jesteś tutaj? Bo znalazłaś się w sytuacji przymusowej?

Wiedział, że nie powinien wplątywać się w czyjeś kłopoty. Szczególnie po to, by rozwiązać swoje własne. Choćby nie wiadomo jak kusząca była kobieta, będąca w tarapatkach.

Poza tym rozsądek dyktował mu, by odesłał Mackenzie z powrotem. Musiał się jej pozbyć dla jej własnego dobra. Jeśli jego podejrzenia były usprawiedliwione, pożar, który wybuchł w należącym do niego składzie, nie był dziełem przypadku. Nie chciał w to wierzyć, ale była taka możliwość, nie mógł więc narażać tej kobiety i jej brata na niebezpieczeństwo

Jeśli ktoś chce go stąd wykurzyć, a domyśla się, kto to może być, to ta osoba bardzo się rozczaruje.

Abel Greene na nowo zapuścił tu swoje korzenie. Nigdzie się stąd nie ruszy. A skoro ma problem, to poradzi sobie z nim jak ze wszystkimi dotychczasowymi. Sam.

Myślał o tym, kiedy wrócił rano ze stajni i natknął się w swoim biurze na Mackenzie Kincaid.

Była jeszcze zaspana i jakby rozmarzona. Wszystkie myśli, z którymi walczył przez całą noc, wyobrażając sobie miękkość jej ciała, ciepło i słodki, kobiecy zapach, wróciły. I nie były już tylko czystymi spekulacjami.

Jego ręce wciąż jeszcze drżały. Twarda męskość pulsowała na wspomnienie muśnięcia jej bioder. Na piersi czuł jeszcze dotyk biustu Mackenzie.

- Sam się o to prosisz, Greene - mruknął pod nosem, przechodząc przez salon do kuchni. - Od pięciu lat żyjesz samotnie jak pustelnik, a potem się dziwisz, że dotyk kobiecych piersi doprowadza cię do szaleństwa.

Abel otworzył szafkę, zdjął z górnej półki puszkę i nerwowo zajął się parzeniem kawy.

Później próbował się uspokoić. Szeroko rozstawionymi rękami oparł się o blat, opuścił głowę i głęboko westchnął.

- Dała ci popalić, co?

Abel drgnął gwałtownie.

Odwrócił się i ujrzał Marka, siedzącego przy stole nad miską owsianki. Po jego minie poznał, że chłopiec słyszał każde jego słowo.

W zamyśleniu potarł ręką podbródek.

- Nie jestem zły na twoją siostrę.

Chłopiec Wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno - odparł. Potem na jego twarzy pojawił się głupkowaty uśmiezek. - No... to co jej zrobisz?

Abel wpadł w furję. Dwoma szybkimi krokami obszedł stół i chwycił chłopaka za koszulę, przyciągając blisko do siebie.

- Posłuchaj, smarkaczu. Nie wiem, co cię gryzie, ale nie masz prawa tak się zachowywać. Nigdy więcej nie mów tym tonem o swojej siostrze. Zrozumiałeś?

Chłopiec poczerwieniał na twarzy, wytrzeszczył oczy, rękę zacisnął mocno na pięści Abła. W milczeniu kiwnął głową. Raz. Potem jeszcze kilka razy - szybko, zdecydowanie.

Wtedy Abel go puścił. Wycofał się wolniutko, świadomy, że chłopiec uważnie mu się przygląda. Nie odrywając od niego oczu, sięgnął po zreperowane przez siebie radio Marka, które położył na blacie.

Bez słowa podsunął je chłopcu.

Nie wiedząc, jak zareagować, Mark spojrzał najpierw na radio, potem na Abła.

- Nie daj mi powodu, bym je zniszczył.

Upokorzony, lecz zbyt dumny, by się do tego przyznać i zbyt szczęśliwy, że znów będzie mógł słuchać swego ukochanego radia, chłopiec skinął głową.

- Na pewno nie, proszę pana.

Potem wstał, odsunął krzesło i wziął radio.

- Brudne naczynia odnosi się do zlewu - rzekł Abel, nalewając sobie kawę do kubka.

Spodziewał się co najmniej głupiej miny. Albo nawet propozycji, by je sobie wsadził w wiadome miejsce. Mark jednak wziął opróżnioną przez siebie miskę oraz łyżkę i zaniósł je do zlewu. Kiedy wrócił do stołu po radio, zawahał się, a potem głośno przełknął ślinę.

- Dzięki - wymamrotał.

Abel przez chwilę przyglądał mu się znad filiżanki, potem kiwnięciem głowy skwitował to niespodziewane podziękowanie.

Z Naszată u boku i radiem pod pachą Mark ruszył na poddasze,

Przyglądający mu się Abel poczuł, że nie jest sam.

Odwrócił się i ujrzał stojącą w progu Mackenzie. Nie wyglądała jak kobieta, której widok przyspiesza bicie serca mężczyzny i o kilka stopni podgrzewa jego krew, ale tak było.

W jej spojrzeniu dostrzegł szacunek i wdzięczność. Ale także nadzieję.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Dziękuję, że go utemperowałeś.

Potem odwróciła się wolno i poszła do łazienki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Powinien wiedzieć, że źle wszystko zrozumie. Że reprimendę, jaką dał jej bratu, potraktuje jako dowód, że mu na niej zależy.;

A to przecież nie miało z tym nic wspólnego. Dawno zapomniane uczucia nie grały w tym żadnej roli. Nie współczuł chłopcu, nie zastanawiał się nad przyczynami jego problemów i nie zapragnął mu pomóc.

To akurat była nieprawda, ale nie miał zamiaru się do tego przyznać. Potarł ręką podbródek i skoncentrował się na czekającym go zadaniu. Mackenzie już odpoczęła. Więc jak tylko weźmie prysznic, przedstawi jej fakty.

Kiedy kilka minut później wyszła z łazienki ubrana w ciasne, stare dżinsy i gruby czerwony sweter, gotów był bez żadnego wstępu przedstawić jej sytuację. I pewnie by mu się to udało, lecz sam jej widok posłał jego plany do diabła.

Oczarowała go tak, że aż zaniemówił i wzbudziła w nim seksualne pragnienia, które oczywiście były zupełnie nie na miejscu. Pragnął tego, co ona posiadała, a czego w jego życiu od tak dawna brakowało. Pragnął jej kobiecej miękkości i zapachu jej ciała - truskawek, bitej śmietany i wiosennego deszczu. Pragnął tego, co J.D. miał dzięki Maggie.

Zaklął pod nosem. A niech ją diabli, że odpowiedziała na jego ogłoszenie. I niech diabli wezmą tę przeklętą burzę. Już

dawno powinna się skończyć, a tymczasem najwyraźniej nie ma na to najmniejszej ochoty. Wiatr wył jak oszalały wilk, a gęsty śnieg okrywał wszystko dookoła.

Wygląda na to, że ugrzęźli tu na dobre. Musi jakoś zapamiętać nad sytuacją. I dać Mackenzie wyraźnie do zrozumienia, że to małżeństwo z ogłoszenia było idiotycznym pomysłem.

- Usiądź - rzekł oschle, kiedy szurając bosymi stopami, weszła do kuchni.

- Kawy? - dodał, próbując być uprzejmym,

Mackenzie albo nie dosłyszała ostrego tonu jego głosu, albo z jakiegoś powodu postanowiła go zignorować,

- Z przyjemnością - odparła.

Uśmiechnęła się i skrzyżowawszy nogi usiadła przy stole. Ręcznikiem suszyła włosy.

Abel nalał kawę do kubków, starając się nie zauważać krągłych piersi przy każdym ruchu kołyszących się pod jej swetrem.

- Czarną, tak?

- Owszem. Czarną i gorzką, taką samą, jak wczoraj wieczorem.

Postawił przed nią kubek. Miał zamiar natychmiast przystąpić do rzeczy, popełnił jednak błąd spojrzawszy przy tym na Mackenzie. Miało to być tylko krótkie spojrzenie, ale, niestety, napotkał jej oczy.

Potem popełnił kolejny błąd. Patrzył dalej. Przyglądał się jej szczupłemu ciału, wilgotnym, ciemnym włosom otaczającym jej twarz i pełnym ustom, do których właśnie podnosiła kubek.

- Wspaniała. - Mackenzie przymknęła oczy i westchnęła z rozkoszą. - Pyszna. Tego mi właśnie było trzeba.

Abel wziął krzesło, obrócił je i usiadł na nim okrakiem, kładąc ręce na oparciu.

- Jak twoja ręka? - spytał niezbyt uprzejmie. Zauważył właśnie, nie po raz pierwszy zresztą, lekkie opuchnięcie dłoni Mackenzie i ogarnęło go poczucie winy.

- Chyba tak samo, jak twoja szczeka - odparła i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Przepraszam. Czasami... czasami robię coś bez zastanowienia.

On zaś nigdy nie robił niczego, dopóki się porządnie nie zastanowił. Dlatego też był bardzo zaskoczony, kiedy omal nie odwzajemnił jej uśmiechu, który wyraźnie był zaraźliwy. Mackenzie uśmiechnęła się, a on poczuł coś dziwnego, nowego i bardzo, bardzo przyjemnego.

Nie mógł sobie na to pozwolić.

- Posłuchaj - rzekł, wpatrując się w parę unoszącą się z kubka. Nie chciał, by rozpraszał go jej widok. - Musimy porozmawiać o...

- O tej sytuacji - odpowiedziała mu z uśmiechem. Obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Tak. O tej sytuacji - potwierdził, lekko zdziwiony, że znalazła akurat to słowo, którego mu brakowało.

- Kiedy dałem to ogłoszenie - zaczął znowu, kręcąc się na krześle - były pewne... - przerwał, jeszcze raz szukając odpowiedniego słowa.

- Po temu powody?

Abel uniósł brwi.

- Tak - zgodził się. - Były istotne powody. Ty też zapewne je miałaś, kiedy się zainteresowałaś moją ofertą matrymonialną.

Przerwał na moment. Kiedy Mackenzie nic nie powiedziała, tylko patrzyła na niego z nadzieją tymi swoimi szczerymi, zielonymi oczami, mówił dalej.

- Sprawa polega na tym, że tak naprawdę nie spodziewałem się, że ktokolwiek rzeczywiście...

- Na nie odpowie? - odpowiedziała.

Abel odstawił kubek. Szybko i zdecydowanie.

- Czy ty zawsze kończysz za ludzi ich wypowiedzi?

- Przepraszam. - Mackenzie uśmiechnęła się. Z zakłopotaniem, ale wcale nie przepraszająco. - To przyzwyczajenie. Chyba rzeczywiście denerwujące. Będę się pilnować.

Abel zamknął oczy i przez chwilę masował szczękę. Próbował przekonać samego siebie, że ani Mackenzie, ani jej impertynencja wcale mu się nie podobają.

- A ja przejdę do rzeczy - rzekł po chwili, starając się, by jego słowa brzmiały ostro i zdecydowanie. - Ale czy naprawdę muszę to mówić? Nie domyślasz się, o co mi chodzi?

Po raz pierwszy od kiedy usiadła, Mackenzie straciła nieco pewność siebie. Głośno przeknęła ślinę, a potem spuściła wzrok na swą kawę.

- Lepiej powiedz.

Jej nagle nieśmiałość zachwiała jego pewnością siebie. Bardzo nie chciał, by to zauważyła. Wstał szybko, podszedł do blatu i wziął dzbanek z kawą.

- To... że tutaj przyjechałaś... nigdy nie powinno było się zdarzyć.

Kiedy odwrócił się i znów na nią spojrzął, zobaczył, że nagle pobladła,

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Abel mocno zacisnął szczękę, zdecydowany kontynuować, co zaczął.

- Chcę powiedzieć, że przede wszystkim nie powinienem był zamieszczać w prasie tego ogłoszenia. A ty nie powinnaś na nie odpowiadać.

- Ale przecież je zamieściłeś - zauważyła niepotrzebnie. W jej głosie słychać było rosnące napięcie. - A ja na nie odpowiedziałam - przypomniała mu, także niepotrzebnie.

Abel oparł się biodrem o blat i tylko na chwilę spojrzął jej w oczy. Też niepotrzebnie, bo zauważył w nich błaganie.

- Jeśli nie miałeś zamiaru tego robić, to po co je zamieściłeś?

Pewnie by mu nie uwierzyła, gdyby wyznał, że pewnego wieczora, spożywszy kilka szklanek whisky, którą w ogóle rzadko pija, skuszony opowieściami J.D. Hazzarda, przyznał się, że ma już dość samotności. W jego życiu nigdy nie było miejsca na słabość. Był wściekły, że wtedy jej uległ. Głupio mu było się do tego przyznać, ale uznał, że jest Mackenzie przynajmniej tyle winien.

- Nazwij to chwilą słabości - mruknął niechętnie.-Albo raczej błędem. Nazwij to, jak chcesz, ale wiem, że sprawy nigdy nie powinny zajść aż tak daleko.

- Ale zaszły.

Choć Mackenzie pozornie wydawała się spokojna, w głosie jej brzmiała ledwo wyczuwalna panika. Była przerażona, że będzie musiała z nim walczyć, choć w gruncie rzeczy powinna z ulgą przyjąć jego rezygnację z zamiaru poślubienia jej.

- Czy ten cały pomysł nie wydaje ci się chory? Nie jest to, twoim zdaniem, przejaw braku rozsądku, że odpowiadasz na ogłoszenie w gazecie i godzisz się poślubić kogoś, kogo nigdy nie widziałeś?

Mackenzie przez chwilę milczała, potem przedstawiła mu bardzo pragmatyczną odpowiedź.

- Każdy ma czasem chwile rozpaczy. To wcale nie znaczy, że jest wariatem. Po prostu szuka alternatywy. A z alternaty-

wą często wiąże się ryzyko. Wiedziałam, że ryzykuję, przyjeżdżając tutaj. Tak samo ryzykowałeś ty, zamieszczając to ogłoszenie.

- Ryzyko - powtórzył Abel, zdecydowany nie reagować na logikę jej rozumowania. - Gra na giełdzie to ryzyko. Przebieganie przez ulicę na czerwonym świetle to ryzyko. Twój przyjazd tutaj to dużo więcej niż ryzyko. To...

Przerwała mu zdecydowanie.

- To była transakcja - powiedziała; tak błagalnym tonem, że Abel z trudem powstrzymał się; by nie zapytać Mackenzie przed czym tak ucieka.

- Zawarliśmy ją oboje - powtórzyła; podkreślając, że jest to czynnik decydujący.

Choć bardzo poruszył go błagalny ton jej głosu, uznał; że bezpieczniej będzie uczeplić się po prostu słów.

- Mówisz, że; to była transakcja? Dobrze. W ogłoszeniu podałem, że poszukuję żony, nie zaś żony i nastolatka, którym trzeba się zająć. Nawet gdybym gotów był dotrzymać zobowiązań, ty; przywołując, tu swego brata, nie wywiązałaś się z umowy.

- Mark... - Mackenzie zawahała się, potem zaś, słysząc dźwięk radia dochodzący z głębi domu, potrząsnęła głową.

- Wiem. Wiem, że się go nie spodziewałeś. Ale to naprawdę dobry dzieciak. Przeżywa po prostu trudny okres. Uspokoi się. Nie będzie z nim problemów.

- Pomijasz sedno sprawy - oznajmił tonem, który zmroziłby najodważniejszego,

Ale nie Mackenzie. Siedziała w milczeniu, istny obraz nie-szczęścia.

- Chcę wszystko odwołać - rzekł, zły na siebie, że mimo wszystko na nią reaguje.

Nie odpowiedziała. Kiedy zamruwała powiekami i spuściła wzrok na swe obejmujące kubek ręce, zaklął w duchu.

- Przykro mi, że przebyłaś taki kawał drogi. - Nawet on sam słyszał, jak fałszywie brzmią jego słowa. - Przepraszam cię. Ale nie będzie żadnego małżeństwa.

Zamilkł na chwilę, spodziewając się łez. Choć powinien już wiedzieć, że ich nie zobaczy. Nie w oczach Mackenzie. Choć wygląda na delikatną i kruchą, w gruncie rzeczy jest twarda i zdecydowana.

Zaczerpnął tchu i kontynuował swoją przemowę.

- Jak tylko burza ustanie i będzie można bezpiecznie podróżować, zawiozę was do Bordertown i wsadzę do autobusu jadącego do Los Angeles. Zwrócę ci wszystkie wydatki, jakie poniosłaś, przyjeżdżając tutaj... i wszystkie inne koszty, na które zostałaś narażona.

Milczenie było ostatnią reakcją, jakiej się spodziewał. Z każdą inną by sobie poradził.

Z wściekłością odstawił kubek na ladę.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Masz się wynieść. Gdybyś miała dość oleju w głowie, odetchnęłabyś z ulgą. Nie mam zamiaru ciągnąć dalej tej farsy.

Mackenzie milczała przez dłuższą chwilę. Kiedy w końcu uniosła głowę, w jej oczach błyszczała determinacja.

- Skończyłeś?

- Tak - warknął. - Skończyłem.

Mackenzie wstała i spokojnie podeszła do niego.

- A więc teraz na mnie kolej. Niech pan usiądzie, panie Greene, i posłucha, co mam panu do powiedzenia.

Kiedy wskazała palcem krzesło, wyglądała jak Dawid stawiający czoło Goliatowi. A on niewątpliwie czuł się właśnie tak jak Goliat.

Mackenzie żałowała, że nie czuje się tak pewna siebie, jak można by wnioskować na podstawie jej zachowania. Wołała by też, by ten piękny i zły mężczyzna nie był taki groźny. Miała jednak nadzieję, że dzięki determinacji uda jej się doprowadzić sprawę do pomyślnego końca. Gdyby zaczął tę rozmowę poprzedniego wieczora, poddałaby się. Teraz jednak była wypoczęta. I panowała nad sytuacją.

Spodziewała się tego. Wiedziała też, że jeśli nie chce, by odesłał ją z powrotem do Los Angeles, musi zapomnieć o dumie.

Jasne było, że tego mężczyzny nie można do niczego zmusić. Potrzebna jej jest broń silniejsza niż siła fizyczna. Mackenzie odkryła ją tego ranka.

Dostrzegła w tym silnym, dzikim i twardym mężczyźnie ogromną słabość.

Wiedziała, czego mu brak i czego potrzebuje. I były to potrzeby zarówno fizyczne, jak i emocjonalne.

Dowodem tych emocjonalnych potrzeb był jego stosunek do Marka. Widać było, że go rozumie. A w tej krótkiej potyczce, jaką z nim stoczył tuż przed jej pójściem do łazienki, udowodnił, że wie także, jak sobie z nim radzić.

Największą jednak niespodzianką - i bronią, dzięki której Mackenzie miała zamiar wygrać tę wojnę - były drzemające w nim potrzeby fizyczne, które, ku swojemu zdziwieniu, właśnie ona w nim obudziła.

Choć trudno było w to uwierzyć, ta zwyczajna, szata myszka Mackenzie Jane Kincaid działała na niego. Zobaczyła to poprzedniego wieczoru w jego spojrzeniu. W tym, jak się rozmarzał, kiedy był pewien, że Mackenzie na niego nie patrzy.

Dopiero jednak rano w jego gabinecie, kiedy ha moment

wziął ją w ramiona i kiedy poczuła lekkie, ale niewątpliwe drżenie jego wielkiego, silnego ciała, pojęła, co się naprawdę dzieje. Zauważyła pragnienie w jego oczach, słuchała, gwałtownego bicia jego serca, kiedy starał się odzyskać panowanie nad sobą. Uświadomiła sobie wtedy, że Abel Greene pragnie czegoś więcej, niż tylko tego, by móc jej dotykać. Że tęskni za tym, co od zarania dziejów mężczyźni otrzymywali od kobiet. I to bardzo tęskni.

Próbowała zlekceważyć ten wniosek. Przecież to niemożliwe. Taki mężczyzna jak Abel nie traci głowy dla takiej kobiety jak ona. Stojąc jednak pod prysznicem, przypomniała sobie żar w jego oczach i pogodziła się z rzeczywistością. Ten mężczyzna pragnie jej ciała. Zdumiewające. Po prostu zdumiewające...

Nie łudziła się, że jest piękną. Wystarczyło przecież jedno spojrzenie w lustro, by się o tym przekonać. Nie miała twarzy, którą mężczyzna gotów jest podziwiać przez całe życie, a już na pewno nie ktoś taki, jak Abel Greene. Nie. Wiedziała, że jego reakcja na jej ciało wynika z pewnych okoliczności.

Abel od dawna mieszka samotnie. Od pięciu lat, o ile dobrze pamięta relacje J.D. Pięć lat to dużo dla takiego mężczyzny jak on.

Mackenzie nigdy nie uważała się za oportunistkę - gotowa jednak była odegrać tę rolę gdyby, dzięki temu mogła ocalić Marka. Postanowiła wykorzystać pięcioletnią samotność Abła Greene'a na swoją korzyść. Seks to potężna broń, Nigdy nie przypuszczała, że ją posiada. Do tego ranka. I od tamtej chwili stale o tym myśli. Czy to będzie uczciwe wobec Greene'a? Nie, ale w obecnej sytuacji trzeba zapomnieć o uczciwości. Zbyt wiele spraw wchodzi w grę. Będzie go

prowokować, machać mu przed nosem kijem z marchewką, aż Abel zacznie błagać ją o spełnienie. I da mu je, ale dopiero poślubie.

Zanim jednak podejmie tę dramatyczną walkę; musi Ablowi przedstawić kilka faktów. I choć zna go zaledwie drugi dzień, wie, że się nimi przejmie.

- Ty może masz tu jakiś wybór - powiedziała. Zdziwiła się, że choć kolana jej drżą, głos brzmi tak mocno. Ale prawda jest taka, że ja go nie mam. Odpowiadając na twoje ogłoszenie, podjęłam pewne zobowiązanie. Dla mnie droga powrotu jest odcięta. Nie mam do czego wracać. Rzuciłam pracę. Sprzedałam wszystko, co miałam. Popłaciłam wszystkie rachunki. A potem kupiłam dwa bilety autobusowe, w jedną stronę, wydałam ostatnie drobniaki na śniadanie wczoraj po drodze i w tej chwili jestem bez grosza;

Przerwała na moment, dając Ablowi okazję; by przetrawił tefakty.

- Domyślasz się, dlaczego porzuciłam pracę? - spytała kiedy była pewna, że Abel słucha jej uważnie. - Dlaczego wydałam wszystkie posiadane przeze mnie pieniądze? Z twojego powodu. Bo to ty zamieściłeś w prasie ogłoszenie, że poszukujesz żony. Odpowiedziałam na nie w dobrej wierze. I teraz chcę, żebyś wywiązał się ze swych zobowiązań;

Mogła mu powiedzieć jeszcze więcej. Uznała jednak, że na razie tyle zupełnie wystarczy. Dalsze informacje nic by tu nie zmieniły. Fakt pozostawał faktem. Ona i Mark nie mogli wrócić do Los Angeles.

Teraz przyszła pora, by wytoczyć najcięższą broń. Wolno, zdecydowanie, podeszła ku niemu, modląc się w duchu, by muzyka, która dobiegała z głębi domu oznaczała, że Mark jest czymś zajęty na poddaszu. Z bijącym sercem i suchym gard-

łem stanęła obok zajmowanego przez Abła krzesła i najbardziej, zalotnie, jak potrafiła, spojrzała mu w oczy. Nie czekała na jego reakcję, Nie zastanowiła się też, czy przypadkiem nie zwariowała.

- Zaatakowała.

- Po prostu usiadła mu na kolanach. Był tak zaskoczony jej postępkami, że jej nie powstrzymał. Zamiast tego jego ręce instynktownie objęły jej talię.

Kierowana resztką siły otoczyła ramionami jego szyję.

- Żebyś nie miał wątpliwości - szepnęła, a niepewność, jaką czuła, dodała jej głosowi zmysłowości; . Mam zamiar dotrzymać mej części umowy. W całości - dodała, przytulając się do niego.

Nigdy w życiu, nie uwodziła żadnego mężczyzny. Teraz jednak ten fakt był zupełnie bez znaczenia. Muskała wargami usta Abła, grając na jednym z najstarszych ludzkich instynktów.

- Chcę być twoją żoną, Ablu - szeptała, ssąc jego wargę. Był niebezpieczny. Czuła jednak, że ten mężczyzna jest nią zauroczony. Kiedy jego ciało zeszytywniało, zapomniała o swoim planie. Po prostu zareagowała impulsywnie,

- W każdym... W każdym aspekcie -powtórzyła.

Przywarła mocniej do Abła, ale teraz kierowało nią już tylko pożądanie. Kiedy nie odsunął się, zanurzyła palce w jego gęste włosy i wpiła się wargami w jego usta.

Odgrywała teraz zupełnie nową, nie znaną sobie rolę. Czując jednak jego silne, gorące ciało i męskie ręce zaciśnięte na swojej talii, topniała jak воск.

Słyszała szalone bicie serca Abła, a kiedy rozchylił usta, zrobiło jej się słabo.

Miała go uwieść. Zachęcić pocałunkiem, sugerującym coś

więcej. W jej planie nie było miejsca na jego impulsywną reakcję. Zdaje się, że w tej samej chwili oboje stracili panowanie nad sobą. Opanowanie nie miało szans, gdy ich ciała się połączyły.

Nie odrywając ust od warg Mackenzie Abel uniósł ją, rozsunął jej nogi i posadził na sobie okrakiem. Zaborczym gestem ujął dłońmi jej pośladki i przyciągnął bliżej swej męskości, potem wsunął ręce pod jej sweter. Pieścił piersi, poznawał je, zachwycał się nimi.

Potem gwałtownie i szybko ściągnął z Mackenzie sweter i przywarł ustami do jej twardej sutki.

- Pomocy!

To równie dobrze mogło być jej wołanie. Tak bardzo bowiem potrzebowała pomocy. Planowała przecież tylko pocałunek, a nie te szalone, gorące pieszczoty. Chciała go tylko podrażnić, a nie poddać mu się bez reszty.

Jednak to nie był jej okrzyk. Abła też nie, bo jego usta zajęte były czym innym.

Wstrząsana pełnymi rozkoszy dreszczami, usłyszała jednak kolejne wołanie.

- Pomocy... Ktoś musi mi tu pomóc.

Klnąc pod nosem, Abel oderwał usta od jej piersi.

Nasłuchiwał,

- Hej, słyszy mnie ktoś? - dobiegł z poddasza niespokojny głos Marka. - Naszata chyba zaczyna rodzić.

- Zaraz idę - zawołał Abel, z trudem łapiąc oddech.

Wsunął palce we włosy Mackenzie, chwycił je mocno i odchylił jej głowę do tyłu. Musiała na niego spojrzeć. Drugą ręką muskał jej brodę.

- Igrasz z ogniem, ptaszyno. - Dla podkreślenia tych słów szarpnął leciutko, lecz znacząco jej włosy. - Jeśli jeszcze raz

spróbujesz mnie prowokować, uważaj, bo osmalisz sobie piórka. A wtedy oboje będziemy niepokieszeni.

Spojrzał na nią przeciągle, potem zdjął ją z siebie i zdecydowanym ruchem posadził na stole. Obrócił się na pięcie i pobiegł do Marka.

- O rany! -jęknęła Mackenzie.

Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś takiego. Nie była dziewicą, teraz jednak miała wrażenie, że wkroczyła na zupełnie dziewicze terytorium. W swym dwudziestoseściu-letnim życiu miała dwóch kochanków. Jednego zamierzała poślubić. Kiedy wybrał trzydziestoseściu-letnią kobietę z majątkiem, wyplakała się na ramieniu przyjaciela. Bardzo jej współczuł. Wziął ją do łóżka, by ukoić jej ból.

I to był błąd. Ale nie tak wielki, jak jej głupi plan, by uwieść Abła Greene'a.

Żaden z jej dotychczasowych związków nie rozpałił w niej takiego ognia. Seks ze Stevenem był spokojny, bezpieczny i raczej nudny. Seks z Brianem słodki i delikatny. A dla tego krótkiego, dzikiego zetknięcia z Ablem - bo przecież był to zaledwie pocałunek -; nie potrafiła znaleźć odpowiednich określeń. Czula, że seks z nim będzie zupełnie niepodobny do tego, co zna.

- O rany - mrukneła jeszcze raz.

Wciąż jeszcze czula na swojej piersi dotyk warg Abła. Usta miała obrzmiałe. A między udami jakas dziwna, goraca wilgoć.

Miał rację. Ogień przy nim to pestka.

Ostrożnie zsunęła się ze stołu i przeczesala palcami włosy. Poprawila ubranie i niepewnym krokiem ruszyła na poddasze.

Tylko wariat mógł isc za nim. Ale tylko tchorz unikalby kolejnej konfrontacji. Poza tym potrzebowała sprzymierzeń-

ca. Może przy narodzinach szczeniąt Naszaty uda jej się zaprzyjaźnić z tą tak ważną dla Greene'a istotą. I może przekaże się, kto wygrał tę walkę w kuchni Abła.

Cud rodzącego się życia był zupełnie nowy dla Mackenzie. Łzy pojawiły się w jej oczach, kiedy po trzech godzinach na świat przyszły cztery popiskujące kuleczki. Ucieszyła się, że Mark traci na ich widok swoją oschłość i powoli staje się tym samym wrażliwym i delikatnym chłopcem, jakim był dawniej.

I właśnie w trakcie tego wszystkiego burza ustała. Mark, krzątający się jak doświadczona położna wokół Naszaty i jej małych, nawet nie zauważył jaskrawego blasku słońca, który rozświetlił chatę.

Ale Mackenzie go zauważyła. Zorientowała się, że wiatr nagle przestał szaleć. I że mężczyzna będący u jej boku milczy i zamiast w Naszatę i jej szczeniaczki wpatruje się w jej twarz.

Czuła jego spojrzenie na miejscach, które tak niedawno całował. Domyślała się walki, jaka się w nim toczy, i pożądania, któremu chciałby zaprzeczyć, lecz nie potrafi.

Przede wszystkim jednak po raz pierwszy w życiu czuła, że żyje. Była świadoma każdego swego oddechu, wznoszenia i opadania piersi pod swetrem, dotyku delikatnych, jedwabistych włosów na karku, aksamitności skóry, wrażliwości sutków. Wiedziała też, że Abel zdaje sobie sprawę, jak na nią działa jego spojrzenie.

Powolotku przymknęła oczy. Potem jeszcze wolniej je otworzyła, by spojrzeć na mężczyznę, który tak bardzo nie chciał jej pragnąć.

Kłęczący wraz z nią obok Naszaty Abel wyglądał przepięknie w blasku słońca, który wpadał przez okna. Kruczo-

czarne włosy Greene'a miały teraz cudowny, granatowy połysk, gęste rzęsy zdawały się złote. Najbardziej jednak przyciągała uwagę Mackenzie jego twarz i to, co się na niej malowało.

Choć wiedziała, że jeszcze nie zaakceptował ich wspólnego życia, wyobraziła sobie ich oboje klęczących razem nie obok rodzącej suczki, lecz przed kapłanem, który za chwilę połączy ich węzłem małżeńskim. I przestała się bać.

W ciągu ostatnich trzech godzin dowiedziała się czegoś o Ablu Greenie. Jego oschłość i chłód to tylko poza. Delikatność, jaką okazał Naszacie, kiedy w bólach rodziła szczeniaczki, cierpliwość w stosunku do Marka, kręcącego się przy psie jak niespokojny ojciec chrzestny, dawały świadectwo, że Abel jest mężczyzną, o jakim marzy każda kobieta. Wskazywały także na to, że wcale nie chce być samotny. Ma ludziom wiele do ofiarowania, tylko jeszcze o tym nie wie.

Fakt, że właściwie prawie się nie znają, był bez znaczenia. Ludzie ciągle się pobierają i też tak naprawdę wcale się nie znają. Jej ojciec i matka byli małżeństwem ponad dwadzieścia lat. Kiedy się rozstawali, wciąż jeszcze się nie znali.

Mackenzie nie popełni tego błędu. Teraz może jeszcze nie zna Abła, ale go rozszyfruje. Nie była taka głupia, by liczyć na miłość. Przybyła tu świadoma tego i gotowa zadowolnić się wzajemnym szacunkiem.

Miała rację, przyjeżdżając do Abła Greene'a. To była właściwa decyzja. Dla nich obojga. I nie pozwoli, by Abel popełnił błąd i odesłał ją z powrotem do Los Angeles.

- Zdaje się, że znowu muszę ci podziękować - powiedziała, kiedy jakiś czas później siedzieli razem przy stole.

Byli sami, bo Mark został przy Naszacie.

Abel uniósł do ust kubek z kawą.

- Byłeś cudowny wobec Marka - dodała, wskazując brodą na poddasze. - Zaufałeś mu i pozwoliłeś, by ci pomagał.

Abel wzruszył ramionami.

- Bo naprawdę potrzebowałem pomocy.

- Nie, wcale nie - zaprzeczyła z uśmiechem. - Naszata też dałaby sobie radę bez Marka. Wszystko szło jak należy. Ale dzięki tobie mój brat poczuł się potrzebny. Oprócz mnie nikt nigdy nie okazał mu zaufania.

W odpowiedzi Abel wstał od stołu, zdjął z wieszaka kurtkę i narzucił ją na ramiona.

- Jeśli sama tego jeszcze nie zauważyłaś, to informuję cię, że przestało padać. Jak tylko odśnieżę ścieżkę, odwiozę was do autobusu.

Serce zamarło w piersi Mackenzie- Wiedziała, że Abel nie jest jeszcze gotów dotrzymać umowy, miała jednak nadzieję, że da jej trochę czasu, by mogła go do tego przekonać.

Krótkie spojrzenie przez okno wróciło jej nadzieję. Nie było najmniejszej szansy, by Ablowi udało się szybko odśnieżyć ogromny, szeroki podjazd.

- Trzeba by jakiejś monstualnej łopaty, by odgarnąć cały ten śnieg.

Abel włożył grube, skórzane rękawice.

- Tak się składa, że mam właśnie taką monstualną łopatę - rzekł, zdejmując z wieszaka pęk kluczy.

- Potrzebujesz kluczy do łopaty?

- Potrzebuję kluczy do Gąsienicy.

- Do gąsienicy? - zdziwiła się Mackenzie.

- Tak nazywam mój skuter śnieżny. Porusza się na gąsienicach. Dzięki niemu oczyszczę podjazd w godzinę. Możesz się zacząć pakować. Tyle czasu powinno ci wystarczyć.

- O, kurczę - mruknęła do siebie Mackenzie, kiedy została sama. - No i co teraz zrobisz?

Jak się okazało, nie musiała niczego robić. Los i przyjaciele Abla załatwili to za nią.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy po wyjściu Abla Mackenzie usłyszała na dworze ryk silnika, domyśliła się, że uruchomił swój skuter śnieżny. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że dźwięk, z początku bardzo cichy, stopniowo staje się głośniejszy.

Wstała od stołu i podeszła do okna. Akurat przed chatę zajeżdżały dwa czarne skutery śnieżne, wznosząc fontanny śniegu.

Mackenzie widywała tego rodzaju wehikuły na zdjęciach i na filmach, ale te były wyjątkowe. Przypominały jakieś pojazdy kosmiczne.

Ich jeźdźcy też wyglądali jak przybysze z innej planety. Mieli na sobie czarne kombinezony, błyszczące kaski, czarne długie buty i rękawice. Tylko potężny labrador, który wyskoczył z kosza, przymocowanego do jednego z pojazdów, nie pasował do tego widoku.

- Kurczę! Co za maszyny! - odezwał się za nią głos zwabionego hałasem Marka.

- Rzeczywiście - przyznała.

- A to kto?

Równie zafascynowana jak brat, przyglądała się dwóm idącym ku chacie postaciom. Przy drzwiach spotkał ich Abel. Wyższy z gości, najwyraźniej mężczyzna, podał mu rękę.

Niższy jeździec, niewątpliwie kobieta i to bardzo zgrabna, rzucił mu się na szyję.

- Chyba zaraz się dowiemy - mruknęła Mackenzie, przygotowując się na spotkanie tych dwóch ważnych dla Abla osób.

- To ona - szepnął Mark.

Prawie nieprzytomny gapił się, jak J.D. i Maggie Hazzardowie zdejmują kaski, rozpinają kombinezony i rozgaszczają się w kuchni Abla.

- To Maggie. Sama Maggie - powtarzał.

Posągowa brunetka, której twarz i figura znane były każdemu prawdziwemu mężczyźnie i każdej kobiecie, marzącej o karierze modelki, tylko się uśmiechnęła.

- Ja też tak na nią zareagowałem, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem.

Uśmiechnięty J.D. Hazzard był wyraźnie tak samo jak reszta świata zauroczony swoją sławną żoną, która niedawno, będąc u szczytu kariery, zrezygnowała z kariery modelki, by spróbować swoich sił jako fotograf.

- Ale można się do tego przyzwyczaić - wyznał i czule spojrzął na żonę. - Szkoda, że jest taka zwyczajna, ale cóż, miłość jest ślepa, prawda, Długa?

- I głucha - odparowała równie czule Maggie. - Bo inaczej nigdy nie dałabym się nabrać na te głupoty, panie Hazzard.

Mackenzie przysłuchiwała się tej zabawnej wymianie zdań, będąc tak samo jak Mark pod wrażeniem urody i sławy Maggie. Zachwycił ją też wygląd J.D. i to, jak cudowną tworzyli parę. Najważniejsze jednak było to, że Hazzardowie byli wymienieni w ogłoszeniu Abla jako ci, którzy mogą udzielić mu referencji. I to oni stwierdzili, że Abel Greene jest niemal-że aniołem.

- Nie uważacie, że jazda w taką pogodę jest dość ryzykowna? - odezwał się w końcu Abel, który milczał od chwili, kiedy wprowadził gości do środka i dokonał krótkiej prezentacji.

- Nie było żadnego ryzyka. Przecież przestało już padać. Zresztą nasze domy dzieli tylko dziesięć minut jazdy skuterem. A tam, w naszej chacie, zaczynaliśmy już wariować.

- Kto zaczął wariować? - oburzyła się żartobliwie Maggie.

- Kiedy więc wyszło słońce - mówił dalej nie zrażony J.D. - wyszliśmy i my.

- Chcieliśmy trochę powęszyc - dodała Maggie, spoglądając przepaszająco na Mackenzie.

Kiedy J.D. puścił do niej oko, Mackenzie nie mogła się nie uśmiechnąć,

- No dobrze, usłyszeliśmy, że masz gości. Uznaliśmy, że jako sąsiedzi powinniśmy się z nimi przywitać.

- Wieści szybko się roznoszą - mruknął Abel.

Jasne było, że Scarlett zrobiła użytek ze swej krótkofalówki.

J.D. nie zwracał najmniejszej uwagi na niechętny komentarz Abła.

- Miło poznać cię osobiście, Mackenzie.

Abel od razu podejrzliwie na nią spojrział.

- Osobiście?

- Kilka tygodni temu rozmawiałam z Hazzardami przez telefon.

- Zapomniałeś o ogłoszeniu? - zdziwił się J.D. - Wysyłając je, napisałem, że Maggie i ja możemy dać ci wspaniałe referencje.

Abel znów spojrzął na Mackenzie.

No wiesz, nie chciałam przyjeżdżać w ciemno - próbowała się bronić.

- Bardzo się cieszymy, że tu jesteś, Mackenzie - wtrąciła pojednawczo Maggie. - Szkoda tylko, że przyjechałaś w taką śnieżycę. Teraz, kiedy zamieć ustała, jestem pewna, że Abel pokaże ci, jak piękna jest Minnesota zimą.

Mackenzie miała ochotę powiedzieć im, że jedyną częścią Minnesoty, jaką Abel chciałby jej pokazać, jest ta, którą widać we wstecznym lusterku autobusu jadącego na południe.

I pewnie by to powiedziała, gdyby do kuchni nie weszła Naszata.

- Naszata. - Maggie nachyliła się i pogłaskała sukę po głowie. - Jak się masz, malutka?

Hershey, czekoladowy labrador, który do tej pory leżał spokojnie na chodniku przy drzwiach, wstał i machając ogonem, podszedł do suczki.

- Dziś rano urodziła cztery szczeniaczki - oznajmił Mark i zarumienił się, kiedy Maggie chwyciła go za rękę.

- Już urodziła? - ucieszyła się.

- Hershey, ty staruchu! - z dumą uśmiechnął się od ucha do ucha J.D. - Jesteś ojcem.

Mackenzie też się uśmiechnęła, bo wyobraziła sobie te dwa psy razem. Labrador tak różnił się od wilczycy, jak jedwab od papieru ściernego. Podobnie jak ona od Abla, stwierdziła po chwili, kiedy ich spojrzenia na moment się spotkały.

Zauważyła, że Naszata obwąchała Hersheya, a potem ruszyła na poddasze. Labrador bez wahania podążył za nią. Jeśli tych dwoje potrafiło się zaprzyjaźnić, to i dla niej, i dla Abla jest jakaś nadzieja, pomyślała.

- Możemy na nie popatrzeć? - spytała podniecona Maggie. - Tylko przez chwilę?

Mark spojrział pytająco na Ablę. Kiedy ten kiwnął głową, chłopiec rozpromienił się.

- Proszę. Pokażę pani szczeniaki.

Abel nie był pewien, w którym momencie stracił kontrolę nad swoim życiem. Wiedział tylko, że miało to związek z pojawieniem się w nim Mackenzie Kincaid. Po przyjeździe J.D. i Maggie miał wrażenie, że jest obserwatorem jakiejś niezwyklej katastrofy. Katastrofy, której nie jest w stanie zapobiec. Nie miało sensu informowanie przyjaciół, że Mackenzie i jej brat nie zostaną u niego. I tak by go nie słuchali. Zbyt byli zajęci wtrącaniem się w jego sprawy i swataniem.

Na prośbę Maggie Abel, choć niechętnie, połączył się drogą radiową ze Scarlett, by poinformować ją o szczeniakach. Z góry wiedział, jaki będzie tego skutek. Obiecał przecież, że Casey będzie mogła sobie wybrać któregoś z piesków. Od dwóch tygodni ta mała dzwoni codziennie, więc teraz na pewno namówi matkę, by natychmiast do niego przyjechały.

I właśnie dlatego dwie godziny później miał dom pełen gości, którzy to zachwycali się szczeniakami, to obrzucali jego i Mackenzie potajemnymi, pełnymi nadziei spojrzeniami. Przynajmniej nikt nie udawał, że nie zależy mu na ich ślubie.

Potem ktoś wpadł na pomysł zorganizowania wspólnego posiłku. J.D. wsiadł na skuter, pojechał do chaty i, zgodnie z instrukcjami Maggie, przywiózł do domu Greene'a całą zawartość ich lodówki. Scarlett i Casey też wpadły na chwilę do Purpurowego Wodospadu, po czym wróciły z furą smakołyków ze swoich zapasów.

Tak więc Abel siedział teraz z przyjaciółmi przy biesiad-

nym stole i wsłuchiwał się w cztery różne rozmowy, na dwa jednak tylko tematy. Były to albo niezbyt zakamuflowane próby dowiedzenia się czegoś więcej o Mackenzie i Marku, albo wychwalanie przed nią jego zalet.

Dowiedział się o niej więcej, niżby chciał. Powiedziała, że pracowała jako księgowa w małej wytwórni papieru, a wieczorami studiowała zarządzanie. I że jej brat, Mark, lubi motory i muzykę.

Przyjaciele oczywiście bardzo się starali, by i Mackenzie dowiedziała się paru rzeczy o Ablu. J.D. właśnie ubarwiał nieco opowieść o tym, jak to ich czwórka - on, Maggie, J.D. i Hershey - rozgromili w ubiegłym roku szajkę kłusowników, kiedy Maggie, delikatnie, lecz zdecydowanie, położyła kres tym opowiastkom.

- J.D., przestań. To jest dla Abła zbyt krępujące - upomniała męża. - Dla mnie zresztą też.

- Bo nazwałem cię aniołem zemsty? - uśmiechnął się J.D., a Maggie oblała się rumieńcem. - Szkoda, że nie mogłaś się wtedy widzieć. Jak z tą strzelbą w rękę każesz temu drabowi, żeby...

- Wystarczy - przerwała znów mężowi Maggie. - Zjedz coś. Może choć na chwilę się zamkniesz.

Ale nie na długo, uświadomił sobie Abel, w milczeniu grzebiąc w talerzu. Zastanawiał się, jak wydostać się z tych tarapatów. Najwyraźniej wszyscy obecni - włącznie z uśmiechniętą Mackenzie Kincaid - uznali, że sprawy zaszły zbyt daleko. Dla nich ślub między Mackenzie i Ablem był już tylko czystą formalnością.

Ku własnemu zdziwieniu, słuchając tych sympatycznych żartów, do których przyjaciele tak łatwo włączyli Mackenzie i Marka, zapragnął, by tak się stało.

Natychmiast odsunął od siebie tę myśl. To, co jest między J.D. a Maggie, nie zdarza się zbyt często. On nawet nie może marzyć o podobnym związku. Już dawno się przekonał, jak bardzo się różni od innych ludzi. Często mu to wypominano. A on wcale się nie wypierał i nawet bywał dumny ze swojej odmienności.

Hazzardowie i Scarlett należeli do tych nielicznych osób, które zaakceptowały go takim, jakim jest, bez żadnych zastrzeżeń. Scarlett i Casey poznał dzięki J.D. i Maggie. Przy stojna, płowowłosa Scarlett, po której Casey odziedziczyła urodę, z trudem zarabiała na życie, prowadząc hotel o nazwie Pod Purpurowym Wodospadem.

Kiedyś skrzywdził ją zły mężczyzna, który przez pewien czas był jej mężem. Z tego bólu zrodziła się jej mądrość. Scarlett wiedziała już, że szczęśliwe, dożgonne małżeństwa są tylko w bajkach. Mimo to Abel dostrzegał w jej oczach zazdrość, kiedy patrzyła na miłość łączącą J.D. i Maggie, choć sama już dawno przestała o niej marzyć. Czuł też, że rzuci się na niego z pazurami, jeśli zauważy, że i on chce zmarnować swoją szansę.

Nie traciła czasu, by mu o tym powiedzieć.

- Podoba mi się ta twoja Mackenzie - powiedziała cicho, wchodząc za Ablem do kuchni. Pozostali goście zgromadzili się w salonie wokół kominka.

- To wcale nie jest żadna moja Mackenzie.

- Jeszcze nie. Ale może być twoją kobietą. Wystarczy, byś ją o tym przekonał.

Abel westchnął głęboko.

- Nic z tego.

- Wiem, że zazwyczaj mężczyźni skrywają swoje uczucia do kobiet. Ale to nie znaczy, że ci się nie uda rozkochać

w sobie tej uroczej istoty. To takie romantyczne - dodała z figlarnym uśmiechem, poprawiając pasmo włosów, które wysunęło się z jej francuskiego warkocza.

- To szaleństwo i dobrze o tym wiesz - prychnął Abel. Scarlett przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

- Nie. Wcale nie wiem. I wydaje mi się, że choć nie chcesz się do tego przyznać, też masz ochotę ożenić się z tą dziewczyną. No bo czemu nie? Naprawdę dobrze się zastanów, zanim odrzucisz tę szansę.

- Poza tym - mówiła dalej, rzucając okiem na salon, gdzie Casey i Mark przestali wreszcie udawać, że się ignorują - wydaje mi się, że moja córka jest zadurzona. Mark zresztą też. Te nieśmiałe, zalotne spojrzenia, jakimi się obrzucają, kiedy myślą, że nikt nie patrzy, są bez wątpienia oznaką zakochania. Choć zaczęło się między nimi nie najlepiej, powiedziałabym, że moja córeczka wpadła po uszy. Nigdy ci nie wybaczy, jeśli odeślesz Marka z powrotem do Kalifornii, zanim uda im się choć raz naprawdę pokłócić. Podśluchałam, że robią plany na jutro. Casey chce tu przyjechać, pobawić ze szczeniaczkami, a potem wziąć Marka na przejażdżkę skuterem.

- Pomyśl o tym poważnie, przyjacielu - dodała, podążając za spojrzeniem Abela. Oczywiście powędrowało ono w kierunku Mackenzie.

Scarlett wróciła do salonu, Abel wolał zostać w pustej, ciemnej kuchni. Praktycznie jednak ani na chwilę nie odrywał wzroku od Mackenzie. Blask kominka rozświetlał jej włosy, a uśmiech na jej twarzy był szczery i ciepły.

Choć wcale nie był zachwycony tym odkryciem, miło mu było ją tu widzieć, w jego domu. Lubił jej śmiech. I nawet zaskoczenie w jej oczach, kiedy spojrzała w stronę kuchni i napotkała jego wzrok.

I podobało mu się - niestety, aż za bardzo - ciepło, jakie rozchodziło się po jego ciele, kiedy myślał o szczupłym, kobiecym ciele Mackenzie.

Zacisnął mocno szczęki. Ta cholerna kobieta za bardzo na niego działa, wykorzystuje jego słabości.

Okazało się, że nie tylko ona. J.D. też uznał, że przed wyjściem musi z nim poważnie porozmawiać.

- No więc, jak twoje sprawy? Nieźle, co? - zagadnął, kiedy przeszli do gabinetu. Kobiety zostały w salonie, a Casey z Markiem na poddaszu ze szczeniętami.

Abel szybko zamknął za nimi drzwi.

- Fatalnie.

J.D. przysiadł na stołku przy stole kreślarskim.

- Jasne. I powiesz mi jeszcze, że Mackenzie ci się wcale nie podoba.

- To nie ma żadnego znaczenia.

J.D. ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Nie ekscytuj się, Hazzard. Odsyłam ją z powrotem do Los Angeles.

J.D. przez moment przyglądał się puszcze z wodą sodową, którą trzymał w ręku.

- Czy ona o tym wie?

- Wie. Tylko nie chce się z tym pogodzić.

- Mnie chyba też będzie trudno zrozumieć twoją decyzję. Dlaczego chcesz to zrobić?

Abel obrzucił przyjaciela gniewnym spojrzeniem.

- Dobrze. - J.D. uspokajająco uniósł do góry dłoń. - Zgadnam się, że szukanie żony przez ogłoszenie prasowe nie jest najlepszym sposobem na rozpoczynanie trwałego związku. Wiem, że gdybyśmy się wtedy nie upili, nigdy by mi się nie

udało namówić cię na zamieszczenie tego anonsu. Ale to się stało - oznajmił J.D. z uśmiechem. - Mackenzie tu jest. Wygląda bardzo sympatycznie. Dlaczego więc nie spróbujesz przynajmniej jej poznać?

Abel podszedł do okna. Z ust J.D. padło to samo pytanie, które zadawał sobie od chwili, kiedy siedzieli w kuchni i Mackenzie mówiła o umowie, szansie i ryzyku. A potem pocałowała go.

- Widzę, że chcesz tego - stwierdził odważnie J.D. - Ona najwyraźniej też. Dlaczego więc się opierasz?

- Nawet gdybym chciał, do niczego to nie doprowadzi. Nie mogę poprosić jej, żeby ze mną została. Nie teraz.

- Nie teraz? - powtórzył J.D.

Dobrze znał przyjaciela i wiedział, że warto zaczekać, aż Abel sam zdecyduje się mówić.

I tak się właśnie stało.

- Mam problem - rzekł w końcu Abel, spoglądając na J.D.

Dawniej nie ufał żadnemu mężczyźnie. Ani kobiecie. Tak było, dopóki nie poznał Maggie i J.D. Ich przyjaźń była dla niego tak ważna, że nie chciał niczego przed nim ukrywać.

Powoli i dokładnie opowiedział mu o pożarze, o kłopotach z maszynami, które poprzedziły pożogę, i o tym, że, jego zdaniem, żadne z tych zdarzeń nie było kwestią przypadku.

- Kto? - zapytał J.D., nie dociekając nawet, czemu Abel podejrzewa, że to wszystko mogło być celowe.

Uważał Abła za prawdziwego przyjaciela, na ślepo przyjął więc jego słowa.

- Nie mogę niczego udowodnić. Mam jednak pewne podejrzenia. Grunewald.

Było to nazwisko właściciela największej papierni w całym stanie.

- Dlaczego on?

W pytaniu tym nie było powątpiewania, lecz wyłącznie ciekawość.

- Chce mojej ziemi.

J.D. wzruszył ramionami.

- Ten facet ma wielkie połacie lasów w całym stanie. Dlaczego miałbyś chcieć przejąć to, co posiadasz? Ile ty masz? Paręset akrów? Owszem, drewno z twojego lasu jest pierwszej jakości, ale to kropla w porównaniu z morzem Grunewalda.

- On nie tyle chce drewna z mojego terenu, ile żebym ja się stąd wyniósł.

- Dlaczego?

I tym razem w jego pytaniu była tylko czysta ciekawość. Abel nieświadomym ruchem pogładził bliznę, która przecinała cały policzek.

- Pokłóciliśmy się kiedyś. Dawno temu. Byłem wówczas jeszcze smarkaczem. Głupim smarkaczem - dodał. - Ten facet do dziś ma mi to za złe.

J.D. spojrział na bliznę Abela i od razu zrozumiał.

- To Grunewald ci to zrobił? - spytał, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - A nam się zawsze wydawało, że miałeś starcie z jakimś niedźwiedziem.

- Nie walczyłem z żadnym niedźwiedziem. Zaatakował mnie Grunewald i banda jego kumpli.

- Zranił cię nożem?

Abel skinął głową.

- Grunewald chciał mi dać nauczkę. Pokazać, gdzie jest moje miejsce.

- Czegoś tu nie rozumiem. To on cię pokaleczył, a ty twierdzisz, że w dodatku wciąż ma ci coś za złe?

- Owszem, ma - oświadczył zdecydowanie Abel. Wziął do ręki szklany przycisk do papieru i przyglądał mu się w zamyśleniu.

W kącikach jego ust pojawił się lekki uśmiezek. Bezwiednym ruchem odstawił przycisk na biurko i wsparł się o nie biodrem.

- Miałem wtedy osiemnaście lat. Byłem nieślubnym dzieckiem i wszedłem na terytorium zakazane dla takich osobników - zakochałem się w „porządnej” dziewczynie.

- Teraz już rozumiem. Grunewald uważał twoją ukochaną za swoją własność.

Na twarzy Abela znów pojawił się uśmiech. Tym razem cyniczny.

- A teraz uważa ją za swoją żonę.

J.D. westchnął głęboko.

- Przecież to wszystko zdarzyło się dawno temu.

- Owszem, ale kiedy wróciłem nad jezioro, Trisha zapra-
gnęła kontynuować naszą znajomość.

Abel pamiętał dokładnie wieczór, kiedy pani Grunewald zja-
wiła się w jego chacie. Pachniała dżinem i chciała go uwieść.

- I jej mąż o wszystkim się dowiedział.

Abel niecierpliwym krokiem podszedł do okna.

- A o czym mógłby się dowiedzieć? Przecież zdecydowa-
nie odmówiłem utrzymywania z nią jakichkolwiek bliższych
kontaktów.

- To dlaczego... - J.D. nie dokończył pytania, bo w tej
samej chwili znał już odpowiedź. - Zdaje się, że wiem. Trisha
poczuła się wzgardzona i odrzucona. Żadna kobieta tego nie
wybaczy.

Abel wzruszył ramionami.

- Tak podejrzewam. Była bardzo napalona. Odjechała stąd prykając jak wściekła kotka i obiecała, że jej za to zapłacę. To było kilka lat temu, ale domyślam się, że od tamtej pory urabia Grunewalda, by mnie stąd wykurzył. W końcu uznał pewnie, że skoro nie może wykupić moich terenów, to postara się zmusić mnie, bym się stąd wyniósł.

- A więc próbował wykupić twoją ziemię?

- Kilka razy. Właściciele sąsiednich lasów już mu je zresztą sprzedali. Tylko ze mną Grunewald ma kłopoty.

Przerwał na chwilę i pociągnął potężny łyk wody sodowej. J.D. czekał w milczeniu.

- Ta cała ziemia należała kiedyś do Indian Chippewa - mówił dalej Abel. - Kiedy pewien Francuz z Quebecu poślubił moją praprababkę, kupił jej ten kawał lasu w prezencie ślubnym, żeby nigdy nie musiała opuścić swego domu. Przekazując tę ziemię spadkobiercom zastrzegła, że musi ona na zawsze pozostać w rodzinie. Moja matka uszanowała jej życzenie.

Nawet przyjacielowi nie wyznał jednak, że przekazanie tego terenu synowi najprawdopodobniej przypłaciła życiem.

- Grunewald nigdy nie dostanie tej ziemi.

Choć J.D. zdawał sobie sprawę ze złości, jaką czuje Abel, uznał, że lepiej będzie jej nie komentować.

- No więc, co chcesz zrobić? - spytał.

Abel otrząsnął się ze wspomnień.

- Nic. Na razie. Jeszcze nic strasznego się nie stało. Przetrzymam go jeszcze trochę. Albo się zmęczy tymi swoimi gierkami, albo popełni jakiś błąd. Wtedy stawię mu czoło.

- Razem stawimy mu czoło - poprawił go J.D.- Nie mam czasu, żeby tolerować dłużej tego skurczybyka.

- Może być nieprzyjemnie.

- Już jest nieprzyjemnie - zauważył J.D., gotów stać przy przyjacielu do końca.

Abel nie określił dokładnie swych obaw. Wiedział, że nie musi tego robić. Zamiast tego wrócił z całym naciskiem do sprawy Mackenzie.

- I właśnie dlatego ta dziewczyna nie może tutaj zostać. Nawet gdybym tego chciał, nie mogę narażać jej i chłopaka na takie niebezpieczeństwo.

J.D. przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Nie będę udawał, że nie wiem, jak okrutny potrafi być Grunewald. Słyszałem o nim niejedną historię. Wiem, do czego jest zdolny. Ale wydaje mi się, że nie doceniasz Mackenzie. Kobieta, która rzuca wszystko, by poślubić kogoś, kogo nigdy na oczy nie widziała, na pewno da sobie radę. Poza tym Grunewald ma coś do ciebie, nie do niej.

Był to ten sam argument, który najczęściej pojawiał się w myślach Abla, kiedy ponownie rozważał swoją decyzję o odesłaniu Mackenzie do domu.

- I znam ciebie - mówił dalej J.D. - Nie pozwolisz, by Grunewald się do niej zbliżył., Ani do jej brata.

Abel wiedział, że przyjaciel ma rację. Przecież umie bronić swojej własności.

Przeraziła go ta myśl. Mackenzie Kincaid nie jest jego własnością. Choćby nie wiem jak bardzo chcieli tego jego przyjaciele.

Przerwało im ciche stukanie do drzwi. .

Maggie zajrzała do pokoju.

- Co to za męska impreza?

J.D. uśmiechnął się, wprowadził ją do środka i objął ramieniem.

- Mieliśmy ochotę trochę pogadać. I tak byś wszystkiego nie rozumiała.

- Nie wygłupiaj się, Hazzard - powiedziała z ciepłym uśmiechem Maggie. - Zostaw nas samych, dobrze? Teraz ja się zajmę Ablem.

- Wpadłeś, Greene - ostrzegł J.D. przyjaciela i pocałował żonę w czoło. - Tobie też nie będzie łatwo - dodał, wychodząc. - Zapamiętaj moje słowa.

- Ależ on jest nieznośny - westchnęła Maggie, kiedy J.D. zamknął za sobą drzwi.

Abel przez chwilę przyglądał się jej twarzy i dostrzegł na niej to, czego się spodziewał.

- I za to go kochasz - rzekł w końcu.

- Tak. Kocham go. Za to i za jeszcze wiele innych rzeczy.

Maggie zawahała się i Abel od razu się zorientował, co go czeka.

- Czy to będzie kolejny wykład o tym, że i ja mogę to mieć, jeśli tylko spróbuję?

Maggie uśmiechnęła się.

- A więc wyczuwasz, że o to nam chodzi?

Abel skrzywił się.

- Dlatego, że nam na tobie zależy. A teraz zależy nam także na Mackenzie i Marku.

Abel odwrócił się do niej plecami. Wiedział, że nie powinien zmieniać swej decyzji.

- Nie będę cię przypierać do muru, Ablu. Chcę cię tylko prosić, żebyś się zastanowił, co możesz zyskać. Ja też nigdy nie przypuszczałam, że znajdę miłość. Teraz nie wyobrażam sobie życia bez J.D.

Maggie podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie rób niczego, czego będziesz potem żałował - powiedziała.

Potem zostawiła go samego.

- W sumie jednak, moja droga Mackenzie, to był całkiem udany dzień - powiedziała sama do siebie Mackenzie.

Akurat. To tak, jak powiedzieć, że concorde to tylko samolot. Albo że Abel Greene to tylko mężczyzna, dodała w myślach, wyglądając przez okno. Czekwała, aż pojawi się skuter śnieżny i Abel z Markiem wróćą do domu.

Do domu. Mackenzie przymknęła oczy i odsunęła się od okna. Musi bardziej uważać. Jest tu niecałe dwadzieścia cztery godziny - co prawda pełne wydarzeń - a już zaczyna myśleć o tej chacie jako o swoim domu.

- Jeszcze dużo brakuje, żebyś mogła tak powiedzieć - przypomniała samej sobie.

Przeszła przez salon i wspięła się na poddasze, by sprawdzić, jak ma się Naszata i jej małe.

- No, jak tam? - szepnęła, kiedy suka na moment uniosła głowę.

Słońce stało teraz nisko nad horyzontem. Minęły prawie dwie godziny od chwili, kiedy Hazzardowie zapakowali Hersheya do kosza i wrócili do swej odległej zaledwie o kilka kilometrów chaty. Prawie dwie godziny od chwili, kiedy Abel w towarzystwie udającego obojętność Marka odjechał swoją wielką, czarną maszyną, by odprowadzić Scarlett i Casey do położonego w głębi lasów hotelu.

- Coś mi się wydaje, że pojechał z nimi, żeby trochę pobycć z dala ode mnie. Co ty na to, Naszata?

Słyszała, jak Abel wyjaśniał Markowi, że imię suki ozna-

cza: mały wódz. Nazwał ją tak dlatego, że znalazł sukę obok ciała jej matki, zabitej kulą kłusownika. Choć była głodna i przerażona, broniła się i warczała, kiedy Abel wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

- Jak prawdziwy, mały wódz - powiedział.

- Dobrze się tobą twój pan zajmuje, co, staruszko? - zagadnęła Mackenzie, tarmosząc szare, szorstkie futro suki. - Myślisz, że uda nam się go przekonać, żeby zajął się i mną?

Myśl ta pojawiła się zupełnie nieproszona. Mackenzie zawsze sama się sobą opiekowała i nieźle sobie radziła. Ale choć raz w życiu miło byłoby wiedzieć, że jeśli znajdzie się w potrzebie, ktoś taki jak Abel pospieszy jej z pomocą.

Szybko odsunęła od siebie te myśli. Użalanie się nad sobą to luksus, na który nie może sobie pozwolić. Nie ma zresztą na to czasu.

Było już prawie ciemno, kiedy zeszła na dół, żeby zrobić sobie gorącej czekolady. Akurat zdejmowała garnuszek z kuchenki, kiedy usłyszała ryk silnika skutera.

Chwilę potem wbiegł do kuchni zaczerwieniony od mrozu Mark.

- O, kurczę. Co za wyprawa! Ten skuter jest niesamowity. Po prostu fruwa w powietrzu!

- A powiedzieć dzień dobry to nie łaska? - zażartowała Mackenzie, wyjmując z szafki kubki.

- No już dobrze, cześć - rzekł szybko Mark i zrzucając kurtkę, czapkę i rękawice, które pożyczył mu na tę przejażdżkę Abel, podniecony mówił dalej:

- Szkoda, że nie widziałaś tego hotelu, gdzie mieszka Casey i jej mama. Jest super. Ma chyba ze sto lat. Wszystkie podłogi są spaczone i strasznie skrzypią. Na ścianach wisi pełno takich miłych, starych obrazków. Hotel ma nawet włas-

nego ducha. Poważnie - dodał, widząc jej sceptyczne spojrzenie. - Zajrzę do Naszaty.

Wbiegł od razu na górę, nie widział więc łez napływających do oczu siostry. Nie wiedział, że w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin częściej przypominał jej dawnego, ukochanego braciszka niż przez minione dwa lata.

I Abel, który kilka minut później wszedł do kuchni, nie mógł wiedzieć, że jest mu winna dużo więcej niż zwykle podziękowania. To on odmienił jej brata.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Abel nie chciał wiedzieć, co było przyczyną łez Mackenzie, choć domyślał się, że ma to jakiś związek z Markiem. Nie chciał w ogóle nic więcej o niej wiedzieć.

Pragnął przede wszystkim, by ustąpił ten dziwny ucisk w gardle, który czuł, kiedy na nią patrzył. I pragnął zapomnieć o tym idiotycznym pomysle, że może istnieć jakaś wspólna przeszłość dla niego i dla Mackenzie Kincaid.

A najbardziej pragnął, by oboje, ona i jej brat, zniknęli z jego życia, zanim bardziej się w cokolwiek zaangażuje.

I pewnie już by to osiągnął, gdyby nie niespodziewana popołudniowa wizyta przyjaciół. Było już za późno, by odświeżyć drogę. Oznaczało to, że musi spędzić z Mackenzie jeszcze jedną noc, Co z kolei nie oznaczało, że musi mu się to podobać.

Prawda była jednak taka, że bez trudu mógłby się przyzwyczaić do obecności tej kobiety i jej brata. I polubić tych dwoje. Podobnie jak perspektywy, jakie roztaczali przed nim przyjaciele.

Mackenzie usiadła naprzeciwko niego przy kominku i podała mu kubek gorącej czekolady.

- Maggie mówiła mi, że sam zbudowałeś tę chatę.

Abel milczał.

- Powiedziała, że tym właśnie się zajmujesz. Że budowaniem domów zarabiasz na życie.

- Budowaniem chat z bali - uściślił Abel. Usłyszał, jak ostro zabrzmiał jego głos, i zrobiło mu się głupio. - Zgadza się, to źródło moich dochodów - dodał już zdecydowanie łagodniej.

Ale nie jedyne.

Główne dochody czerpał z procentów od sum, jakie zgromadził przez lata pracy jako najemnik walczący z handlarzami narkotyków.

Ciekawe, co pomyślałaby sobie Mackenzie Kincaid, gdyby się dowiedziała, jaką miał przeszłość. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy jej o tym nie powiedzieć, by ją odstraszyć. Potem jednak zrezygnował z tego pomysłu.

Wiedział, że zachowuje się jak idiota. Słowo „niezdecydowanie” nie istniało w jego słowniku. Paplanie o niczym też nie. A jednak od kiedy znalazł w śniegu tę śliczną ptaszynę, stał się i niezdecydowany, i zbyt gadatliwy.

- Nie jesteś zbyt rozmowny, co?

Uniósł głowę i spojrzął Mackenzie w oczy. Nie dostrzegł w nich ironii.

- Zauważyłem, że przy tobie wcale nie muszę zbyt wiele mówić - odparł znów zbyt ostro.

Mackenzie zignorowała kąśliwość jego uwagi i uśmiechnęła się ciepło.

- Nie ty pierwszy mówisz mi, że czasami mówię za dużo. A jego nie po raz pierwszy zaskoczył jej uśmiech.

Nie po raz pierwszy zrobił coś głupiego z powodu tego uśmiechu.

- A więc skoro jesteś taka rozmowna, może teraz ty opowiedz mi coś o sobie?

Nie miał pojęcia, czemu to zaproponował. Lepiej byłoby nie usłyszeć czegoś, o czym później nie mógłby zapomnieć. Słowa jednak padły i Abel poczuł, że koniecznie musi wiedzieć wszystko o tej dziewczynie.

- Dlaczego tu przyjechałaś? Nie rozumiem tego. Jesteś młodą, atrakcyjną kobietą. Nie musiałaś korzystać z ogłoszenia, żeby znaleźć sobie męża. Więc dlaczego odpowiedziałaś na mój anons? Dlaczego zostawiłaś wszystko i ruszyłaś w nieznaną?

W jej oczach pojawiła się czujność. Przez chwilę zastanawiała się nad konsekwencjami swego wyznania. Abel natychmiast to wykorzystał.

- Tylko nie próbuj wstawiać mi jakiegos kitu, moja ty zielonooka. Mów prawdę. Jesteś tu, bo przed czymś uciekasz? - Jej mina przekonała go, że trafił w sedno. - Mam prawo wiedzieć, o co chodzi.

Mackenzie spuściła wzrok. Czuli się nie w porządku. Wiedziała, że winna jest mu przynajmniej szczerość.

- Masz rację. Masz prawo wiedzieć.

Zaczerpnęła tchu i bez zbędnych wstępów przystąpiła do rzeczy.

- Moi starzy chyba nie wygraliby konkursu na rodziców roku - zaczęła i dla uspokojenia przesuwiała kciukiem po brzegu kubka. - To z mojego powodu się pobrali. A z powodu Marka postanowili się nie rozwodzić. Żyli jednak ze sobą jak pies z kotem.

Zamilkła na moment i Abel domyślił się, że jeszcze raz przeżywa przykre sceny zapamiętane z dzieciństwa.

- Ja znosiłam to lepiej niż Mark - stwierdziła. - Sama nie wiem, czemu. I nie mam też pojęcia, dlaczego nasi rodzice byli ze sobą tak długo.

Abel nie ponaglał jej do mówienia. Siedział po prostu w milczeniu i czekał na dalszy ciąg opowieści, choć wiedział, że po wysłuchaniu jej będzie mu trochę bardziej zależało na Mackenzie i jej zbuntowanym bracie.

- Nie mieszkalam już z nimi, kiedy rozeszli się pięć lat temu. Miałam dwadzieścia jeden lat i jakoś sobie radziłam... choć z trudem - dodała ze słabym uśmiechem. - Mark miał wówczas zaledwie dziesięć lat. Bardzo przeżył rozwód rodziców. Był przekonany, że to przez niego tak się stało, że jeśli będzie grzeczny....

Znów na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Tym razem smutny.

- To straszne, prawda, że dzieci biorą na siebie winy dorosłych? Wiem, że to, co przytrafiło się Markowi, to nic nowego, ponieważ to samo przeżywają tysiące dzieci, kiedy ich rodzice się rozwodzą. To była jednak rzadka i nieprzyjemna sprawa. Większość rodziców walczy ze sobą o prawo do opieki nad dziećmi. Tylko nie moi starzy. Po otrzymaniu rozwodu poczuli się wolni. Chcieli poszaleć. Żadne z nich nie potrzebowało Marka.

Jej złość była wyraźna. Manifestowała ją ostrym tonem głosu i mocno zaciśniętymi ustami.

- Żadne dziecko nie zasługuje na coś takiego. To było straszne, że ani jedno z rodziców go nie chciało. W dodatku musieli mu o tym powiedzieć. Dwa lata temu, kiedy zdałam sobie sprawę, jak źle to wszystko na niego wpływa, wzięłam go do siebie. Niestety, zwlekałam zbyt długo.

Tylko milczenie Abła sprawiło, że mogła kontynuować swoją opowieść.

- Zaczął zadawać się z podejrzanymi typami. Miał kłopoty z prawem. Z początku były to drobne wykroczenia, ale kto wie, co byłoby dalej. Może zresztą już było.

Mackenzie utkwiała wzrok w kubku. Zgarbiła się i palcem przesuwiała po brzegu naczynia.

- Powinna być opiekować się Markiem wcześniej. Trzeba go było zabrać, kiedy mama i tata zaczęli przerzucać go między sobą jak piłeczkę pingpongową i zanim stracił resztki poczucia własnej wartości. Może wtedy by się tak nie wykołoił.

Westchnęła głęboko, położyła głowę na oparciu kanapy i wpatrywała się w sufit. Abel wręcz czuł żal i poczucie winy, ciężące jej jak ołów. Kiedy oczy Mackenzie - dojrzałe, mądre, zmęczone - napotkały jego spojrzenie, nie odwrócił wzroku.

- Pewnego wieczoru Mark wrócił do domu ubrany w barwy gangu. Zrozumiałam wtedy, że go straciłam. Gangi, broń, ryny stały się jego życiem. A kiedy wkrótce potem przyszedł zakrwawiony i pobity, chwając się, że jest już dorosłym facetem, bo konkurencyjny gang zagroził mu śmiercią, wiedziałam, że muszę go stamtąd zabrać. W Los Angeles nie miał szans. Wcześniej czy później ktoś by go zamordował.

Wtedy właśnie natknęłam się w gazecie na twoje ogłoszenie - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - Z początku raczej mnie rozbawiło. Ale tylko z początku. Nie potrafiłam rozwiązać problemu Marka. Codziennie budziłam się ze strachem, że może to być ostatni dzień jego życia. Musiałam go wywieźć z miasta, ale nie mogliśmy się po prostu przeprowadzić gdzie indziej. Na to potrzeba było pieniędzy, których nie miałam.

Abel, zawstydzony jej odwagą, ale i siłą jej spojrzenia, wstał i dorzucił drewna do kominka. Potem wziął pogrzebacz i przesuwiał nim polana.

- Odesłanie go do rodziców też nie było żadnym wyjściem - mówiła dalej Mackenzie. - Po tym, co mu zrobili, na pewno by od każdego z nich uciekł. A ja przecież obiecałam sobie i jemu, że zawsze będę przy nim.

Abel usłyszał, jak Mackenzie zmienia pozycję i inaczej układa się na kanapie, ale się nie odwrócił.

- Długo myślałam o twoim ogłoszeniu. Coś się we mnie buntowało na myśl, że muszę się poświęcić dla brata. Ale kiedy nic innego nie wpadało mi do głowy, zaczęłam coraz bardziej postrzegać przyjazd do ciebie jako idealne wyjście. Oferowałeś bezpieczeństwo. Odosobnienie. A potem stało się coś, co zdecydowało za mnie.

Słyszając w jej głosie smutek, Abel musiał się odwrócić:

- Przed naszym domem zastrzelono pewnego chłopaka. Miał czternaście lat. Był podobny do Marka i zginął od kuli przeznaczonej dla mojego brata. Następnego dnia odpowiedziałam na twoje ogłoszenie.

Mackenzie zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Głośno przełknęła ślinę. Potem napotkała wzrok Abła.

- Czy się bałam? Owszem, bałam się. Nawet bardzo. Przecież miałam oddać się na całe życie nieznanemu człowiekowi. A najgorsze było to, że gdybym tego nie zrobiła, straciłabym brata. Nie miałam wyboru. Nic dziwnego, że byłam przerażona.

Abel nie był w stanie oderwać od niej wzroku.

- Spytaj mnie, czy teraz się boję.

Jej głos był tak samo stanowczy jak jej spojrzenie.

- Spytaj mnie - powtórzyła cicho - czy po tym, jak zobaczyłam cię pogrążonego w rozmowie z moim bratem, który nagle zaczął się zachowywać jak normalny nastolatek, po tym, kiedy zrozumiałam, że jest tu bezpieczny, uważam, że nie warto było ryzykować i przyjeżdżać do ciebie.

Abel oparł się o półkę nad kominkiem i odwrócił wzrok.

- Już się nie boję - szepnęła Mackenzie. - Nie jestem pogrążona w rozpacz. Ufam, że w twoim domu jest miejsce dla Marka. A także dla mnie. Dałeś mi szansę, Ablu. I jeśli się

nie wycofasz, zrobię wszystko, żeby żadne z nas tego nie żałowało.

Determinacja w jej głosie aż go zabolęła.

Wiedział, że powinien coś odpowiedzieć. Że powinien ją ostrzec, iż szukając ocalenia u kogoś takiego jak on, wpada z deszczu pod rynnę.

Nie zrobił tego. Nie mógł. A szczerze mówiąc, nie chciał. Pragnął rozważyć to, co mu Mackenzie o sobie powiedziała. Chciał być godnym zaufania, którym go obdarzyła.

A nade wszystko chciał słuchać, jak wymawia jego imię. Brzmiało miękko jak aksamit. I kusilo, by pozwolił jej zostać.

Miał wrażenie, że w jego chacie nagle zrobiło się duszno i ciasno. Choć była całkiem spora, uczucia, które go nagle ogarnęły, przestały się w niej mieścić.

Zdjął z wieszaka kurtkę i bez słowa wyszedł z domu. Nakarmił konie. Został przy nich bardzo długo. Myślał o tym, jak bardzo Mackenzie jest uczciwa. Podziwiał jej odwagę. Przeklinał szczerłość.

Czuł się jak w pułapce. Przyparty do muru. Mackenzie żądała zbyt wiele. Chciała obdarzyć go zaufaniem. Zaufaniem, na które nie zasłużył, które do tej pory można było wynająć za pieniądze.

Prawie żałował, że nie próbowała go okłamać, że nie opowiedziała jakiejś zmyślonej, łzawej historyjki. Przez większą część swego życia miał do czynienia z fałszem i umiał odróżnić go od prawdy.

Mackenzie nie prosiła o nic dla siebie. Poświęciła się dla dobra swego brata. Motywy, którymi kierował się, umieszczając ogłoszenie, były mało przekonujące w porównaniu z jej motywami. Na swoje wytłumaczenie miał tylko whisky i rozczulanie się nad sobą. Dla niej to była sprawa życia i śmierci.

Ani przez chwilę nie wątpił, że dalszy pobyt w Los Angeles jest dla Marka niebezpieczny. Pracując jako tajny agent, spędził mnóstwo czasu na ulicach i wiedział, co znaczy wyrok śmierci, wydany na kogoś przez gang.

Zupełnie niechcący i dla niego stało się to sprawą życia i śmierci. I choć zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, miał nadzieję, że i jemu los daje szansę. Szansę, by przeżyć coś dobrego.

Kiedy godzinę później wchodził przez kuchenne drzwi, z góry, z poddasza, dobiegł go śmiech Mackenzie i Marka.

Właśnie tego od dawna brakowało w tym domu. Był na tyle duży, że pomieścić się w nim mogła cała rodzina, a jednak jedynym, oprócz Abla, lokatorem była tu cisza.

Abel rozejrzał się po kuchni, zajrzał do salonu, pomyślał o swym wielkim, pustym łóżku i o ciepłe kobiecego ciała. Po raz pierwszy od pojawienia się Mackenzie zaczął myśleć, że mógłby codziennie wracać do domu i słuchać jej śmiechu. Wyobraził sobie noce spędzane w ramionach uroczej, zielonookiej istoty.

Potem jednak pomyślał, jak mogłaby go zniszczyć Mackenzie, gdyby pozwolił jej stać się częścią swego życia, a ona któregoś dnia postanowiłaby odejść.

Z potarganymi włosami i oczami zaczerwienionymi z niewyspania po kolejnej bezsennej nocy spędzonej na kanapie, Mackenzie siedziała nad poranną kawą i wpatrywała się w ponurą twarz Abla.

Jego wrogie spojrzenie nie powinno jej podniecać, ale tak się stało.

Zaczęła marzyć o miękkich łóżkach i romantycznych za-

chodach słońca. O pełnych namiętności jękach i westchnieniach, o gorącej, wilgotnej skórze.

Abel sprawił, że zapragnęła znów uwierzyć w dawno zapomniane nadzieje i marzenia.

Poczuła, że się czerwieni, i odwróciła głowę.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Przecież tu nie chodzi o nią, lecz o Marka, to jego potrzeby.

Teraz Abel wie już wszystko. Poprzedniego wieczora opowiedziała mu całą historię. Ciekawe, jak się teraz zachowa.

Minionej nocy wszedł cicho do chaty, kiedy ona była na poddaszu. Schodząc na dół zauważyła, że drzwi do jego sypialni były zamknięte.

Przez moment zastanawiała się, czy tam nie wejść. Chciała spytać, czy nie zmienił zdania. Poświęcić resztę swej dumy i błagać o szansę dla brata, gdyby się okazało, że muszą wracać do Los Angeles.

Kiedy uświadomiła sobie, że myśli nie tylko o Marku, ale i o sobie, nie mogła tego zrobić. Leżała potem, nie śpiąc, przez pół nocy i zastanawiała się, czemu piękny, wspaniały mężczyzna, który w dodatku zaskarbił sobie przyjaźń takich ludzi, jak Hazzardowie i Scarlett Morgan, musi szukać żony.

Była pewna, że i on ma, swoje tajemnice. Jakieś ukryte smutki, grzechy na sumieniu. Dziwiła się najbardziej, że taki człowiek, taka intrygująca mieszanka ognia i lodu, siły i delikatności, wzbudza w niej opiekuńczość. I pożądanie.

Denerwowało ją, że przyszłość jej i Marka leży w jego rękach.

Była to myśl przerażająca. I choć Mackenzie wiedziała, że powinna opuścić to miejsce, nie czuła najmniejszej ochoty, by to zrobić. Już nie. Nie teraz, kiedy poznała Abła Greene'a, kiedy go całowała i kiedy dzięki niemu poczuła, że żyje.

Była tak pogrążona w rozmyślaniach, że dopiero po chwili dotarło do niej, że Abel powiedział coś istotnego.

Wyprostowała się gwałtownie.

- Przepraszam, co mówiłeś?
- Mówiłem, że zimy tutaj są długie i mroźne.

Mackenzie zmrużyła oczy i wpatrywała się w jego piękną twarz. To, co w niej zobaczyła, wzmocniło jeszcze znaczenie jego słów.

Choć niechętnie, dał jej do zrozumienia, że może zostać, ale równocześnie próbował ją ostrzec.

Poczuła ulgę.

- Twój dom jest ciepły i obszerny - powiedziała cicho, dając mu znać, że rozumiała i gotowa jest podjąć wyzwanie.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Wiosny i lata są zbyt krótkie.

Mackenzie z trudem ukryła triumfujący uśmiech.

- Mam dość tego kalifornijskiego całorocznego lata.
- Czasami będę wyjeżdżał - ostrzegł, nie spuszczać z niej wzroku. - Moja praca tego wymaga. Nie siedzę przez cały czas tu w lesie. Muszę czasem wyjechać w poszukiwaniu surowców i nowych kontrahentów.

Nie wysilaj się, poradziła mu w duchu. I tak mnie nie zniechęcisz.

- Mężczyzna musi pracować, bo inaczej nie jest mężczyzną.

Abel wypił łyk kawy. Potem spuścił wzrok na swoje dłonie.

- Może ci być tu ciężko. Będiesz czasem zostawała sama na takim odludziu.

Widać było, że dobrze wie, co znaczy samotność, choć pewnie nigdy by się nie przyznał, jak bywa czasem dla niego bolesna.

Kiedy skierował wzrok za okno, Mackenzie uśmiechnęła się gorzko.

- Ja też przez większość życia byłam sama - powiedziała cicho. - Tutaj więc powinno mi być lepiej.

A więc i to ich łączy.

- Będziesz się nudziła - rzekł nagle.

Był tak zabawnie uparty, że Mackenzie aż się roześmiała.

- Wątpię.

Abel westchnął głęboko i na moment zapatrzył się w swój kubek.

- Mark będzie musiał się uczyć.

- Mam nadzieję.

- Jego problemy bynajmniej nie zniknęły. Wciąż jest zbuntowanym, sfrustrowanym nastolatkiem.

- Ale powoli zaczyna się uspokajać. Powinnam podziękować za to tobie, bo masz na niego zbawienny wpływ i...

- Nie przesadzaj - przerwał jej tak ostro, że aż się wzdrygnęła. - Nie jestem dla nikogo wzorcem. I nie chcę nim być.

- Obawiam się, że na to już za późno - powiedziała ostrożnie Mackenzie, wciąż zdziwiona gwałtownością reakcji Abela. - Mark pewnie by się do tego nie przyznał, ale bardzo cię szanuje.

Abel wolno pokręcił głową. W kącikach jego ust pojawił się lekki, cyniczny uśmiešek.

- Jesteś naprawdę dobra, zielonooka.

Jego głos był lodowaty.

- Wczoraj wieczorem odegrałaś znakomitą scenę. Poruszyłaś wszystkie właściwe sznurki. A teraz, skoro uzyskałaś to, czego chciałaś... nie naciskaj dłużej, dobrze?

Jego spojrzenie było zimne, usta mocno zaciśnięte.

- Przyjmuję odpowiedzialność za twój przyjazd tutaj. Zro-

zumiałem, że nie możecie wrócić do Los Angeles. Z tego więc powodu nie odeślę was z powrotem. Ale nie doczytuję się w powodach mojej decyzji czegoś, czego tam nie znajdziesz. Począwszy od mojego wymyślanego wpływu na twego brata... - Mackenzie nie doszła jeszcze do siebie po pierwszym ciosie, kiedy otrzymała następny: - ...po nadzieję, że może między nami zaistnieć coś więcej niż pociąg fizyczny.

Abel wiedział z własnego doświadczenia, że nie wszystkie rany krwawią. Mina Mackenzie była dowodem celności jego ciosu. Twarz jej pobladła, oczy straciły blask. Żałował, że sprawił jej ból, lecz uznał, że im wcześniej wszystko wyjaśni, tym lepiej. Popęłił w życiu wiele grzechów, ale nie chciał, by znalazło się wśród nich dawanie jej niemożliwej do spełnienia nadziei.

Nie chciał zbliżyć się do tej kobiety. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie był pewien, czy byłby w stanie to przeżyć.

Minionej nocy omal nie ujawnił przed nią pewnej słabości, którą ukrywał przez prawie całe swoje życie - pragnienia, by się przed kimś otworzyć.

Wyobraził sobie, jak otwiera przed nią drzwi, a ona za chwilę zamyka mu je przed nosem. Nie zniósłby tego. Musiał się wycofać.

Choć wiedział, że popełnia błąd, pozwoli jej zostać. Teraz, kiedy poznał historię jej życia, sumienie nie pozwoliło mu odesłać jej do Los Angeles. Wiedział, że Grunewald może być groźny, jednak Los Angeles jest dla tych dwojga jeszcze groźniejsze. J.D. miał rację. Grunewald ma na pieńku tylko z nim, więc jeśli zagrozi czymkolwiek Mackenzie i Markowi, to już on mu pokaże, gdzie raki zimuja.

- Masz ostatnią szansę, żeby się wycofać - rzekł. - Jeśli tu zostaniesz, to tylko jako moja żona. Będę o ciebie dbał i od

ciebie spodziewam się tego samego. I to wszystko. Rozumie-
my się?

W milczeniu zniósł jej badawcze spojrzenie. Wiedział, że Mackenzie szuka jakiegoś znaku... jakiegokolwiek znaku, że za jego stanowczym, wykalkulowanym ultimatum kryje się coś więcej.

- Całkowicie - powiedziała w końcu. - Jako mój mąż będziesz o mnie dbał. Jako twoja żona muszę cię zadowolić... w łóżku.

Smutek i rezygnacja w jej głosie omal go nie rozbroiły. Zamknął oczy. Głośno przełknął ślinę. Naprawdę chciał jej dać to, czego potrzebowała. Ale nie było to wcale proste. Bo i życie nie jest wcale proste i łatwe.

W tym leżało sedno tej zagmatwanej sprawy.

Przecież to nie ma sensu, że Mackenzie marzy, by mógł jej dać to, na co taka kobieta, jak ona, zasługuje. I bez sensu jest to, że tak bardzo jej pragnie.

Pragnie jej od chwili, kiedy rzuciła mu się na plecy.

- Nie bój się, to nie będzie takie nieprzyjemne. - Tyle przynajmniej mógł jej obiecać. - Ale jeśli spodziewasz się czegoś więcej, tylko się rozczarujesz.

Mackenzie wyjrzała przez okno i z rezygnacją potrząsnęła głową.

- Nie pierwszy raz mam do czynienia z nierealistycznymi marzeniami.

Kiedy znów na niego spojrzała, zauważył, że wrócił jej oczom blask. I dawne zdecydowanie. Zniknęła jednak bezprowrotnie nadzieja... i tego było mu bardzo żal.

- Tylko tyle mogę ci dać. Przykro mi.

Mackenzie uniosła głowę.

- Nie martw się o mnie. Zawarłam umowę i nie wycofam się z niej.

- Na miłość boską, przecież żyję na odludziu - poskarżył się zaspanym głosem J.D., kiedy kilka minut później obudził go sygnał radiowy. - Miałem nadzieję, że nikt mnie tu nie będzie niepokoił.

- Zadzwoń po pastora.

Milczenie. I po chwili:

- Co?

- Zadzwoń do pastora i spytaj, kiedy możemy wziąć ślub.

Dłonie Abła były spocone, kiedy naciskał przycisk.

A więc zrobione. A w każdym razie wkrótce będzie.

W długich botach, opatulona w ciepły płaszcz, szalik i rękawice, które poprzedniego dnia kupiła w mieście, Mackenzie wymknęła się z chaty. J.D., Abel, Mark i Casey przynosili w tym samym czasie Naszatę z małymi z poddasza do wolnej sypialni, a Maggie i Scarlett zajęły się innymi niezbędnymi przygotowaniami.

Był dziewiętnasty grudnia.

Dzień jej ślubu.

Potrzebowała chwili samotności przed zaplanowaną na trzecią po południu uroczystością.

Było jeszcze wcześniej, zaledwie kilka minut po pierwszej, mogła więc swobodnie cieszyć się paroma chwilami tego pięknego dnia.

Słońce świeciło jasno. Powietrze było świeże, mroźne i czyste. Ubrane w śnieżne czapy choinki wyglądały jak tłoczący się goście, czekający na młodą parę.

Gdyby była przesądna, ten jasny, słoneczny dzień mogłaby uznać za obietnicę świetlanej przyszłości z Ablem Greene' em... i niech diabli wezmą to, co on gada.

To będzie teraz jej dom. Miejsce, gdzie Mark stanie się mężczyzną, a ona, być może, wychowa gromadkę dzieci.

Mackenzie uśmiechnęła się i wtuliła brodę w futrzany kołnierz swojego płaszcza. Dzieci. Podobał jej się ten pomysł. Choćby wydawał się nieprawdopodobny.

Przecież tak samo niemożliwe wydawało się również to, że wkrótce poślubi mężczyznę, którego zna zaledwie od pięciu dni. I nie tylko marzy, by dzielić z nim łóżko, ale i życie. Mimo że ostrzegł ją, iż w ich związku nie będzie miłości. Seks, owszem. Ale miłość, nigdy.

Przyjechała tu przecież, wcale na to nie licząc, a więc jego ostre słowa nie powinny jej zranić. A jednak zraniły jej serce jak nóż.

Kiedy przed dwoma dniami siedziała zasmucona jego szczerością, uświadomiła sobie, że oszukuje samą siebie. Choćby nie wiem jak udawała, prawda była taka, że pragnęła więcej, niż Abel mógł jej ofiarować.

Z początku więc użalała się na sobą. Płakała z tęsknoty za tym, czego nie mogła mieć. Nie, nie kochała jeszcze Abela, ale chciała go pokochać i miała nadzieję, że i on mógłby odwzajemnić jej miłość.

Tego ranka w kuchni udowodnił, że żadna z tych możliwości nie wchodzi w rachubę.

Kiedy pogodziła się już z faktami, dotarło do niej, że coś jest nie tak w obrazie, który jej przedstawił. Za bardzo się starał przekonać ją, że jest obojętny, zimny i pozbawiony uczuć. Z początku nie zauważyła, zajęta lizaniem własnych ran, że i on cierpi. I że zamykając się przed nią, chroni siebie.

Dopiero wtedy zrozumiała, o co naprawdę chodzi.

Abel nie jest zimny i wyrachowany. Człowiek pozbawiony uczuć nie starałby się tak bardzo, by ją przed sobą ostrzec.

Wszystkie te znaki ułożyły się w jedno wyjaśnienie. Abel Greene boi się zaangażować. Nie dlatego, że obawia się odpowiedzialności. Zaangażowanie jednak wymaga sporej dozy zaufania. Zaufanie często wiąże się z późniejszym cierpieniem. A jego oczy i zachowanie mówiły jej, że dość już się w życiu nacierpiał.

Został samotnikiem z wyboru. Obdarza przyjaźnią tylko kilka wybranych osób. Jest samotnym człowiekiem, który nie chce zrozumieć, że to nic złego, iż nie chce być sam.

Jego stosunek do Marka potwierdzał tę tezę. Obserwowała ich przez ostatnie dwa dni. Powstały między nimi pewne więzy, kiedy wspólnie zajmowali się Naszată i małymi, rąbali drewno, doglądali koni albo cicho rozmawiali o jeziorze i tej ziemi - jedynej rzeczy, wobec której Abel nie udawał obojętności. Mackenzie z zachwytem patrzyła, jak złość Marka na cały świat stopniowo topnieje.

Abel Greene może sobie twierdzić, że nic go nie obchodzi. Ona się na to nie nabierze. Dla dobra całej trójki: jego, jej i Marka.

Palcem otarła toczącą się po policzku łzę.

- Romantyczka z ciebie, Kincaid - skarciła się i wróciła do rzeczywistości. -I dzisiaj zostaniesz żoną Abła Greene'a.

Błogosławieni niech będą J.D., Maggie i Scarlett. Jak tylko Abel dał im przyzwolenie, wzięli się ostro do roboty. Chcieli zrobić z tego ślubu szczególną i wyjątkową uroczystość.

Kiedy Abel pozwolił im przygotować chatę do ceremonii, Mackenzie zrozumiała, że tak naprawdę jej narzeczony nie aż tak bardzo się boi tego, co go czeka.

- W każdym razie nie tej części, która wiąże się z małżeńskim łóżem - szepnęła, a z jej ust wydobył się kłęb pary.

Tego pierwszego ranka spędzonego w jego kuchni wiele mu obiecała. A przecież jej seksualne doświadczenie jest takie ograniczone. Co będzie, jeśli go rozczaruje?

A jeśli on rozczaruje ją?

Aż roześmiała się na tę myśl. Czy mężczyzna taki jak Abel mógłby rozczarować jakąkolwiek kobietę?

- Aż nie mogę uwierzyć, że widzisz w tym wszystkim jakieś powody do śmiechu.

Za nią stał Mark, Patrzył na siostrę ze zmarszczonymi brwiami. W ciągu ostatnich dwóch dni owych gorączkowych przygotowań weselnych zauważyła, że targają nim sprzeczne uczucia. Chciała nawet z nim porozmawiać, wiedziała jednak, że lepiej będzie poczekać. I teraz też czekała. Skoro przyszedł tu za nią, to znaczy, że ma jej coś do powiedzenia.

Mark jednak najpierw przez dłuższą chwilę rozglądał się dokoła.

- Wychodzisz za niego z mojego powodu - rzekł w końcu. Mackenzie wsunęła ręce głęboko w kieszenie.

- Robiłam już w życiu gorsze interesy.

W jego oczach pojawiły się łzy. Ale trwało to tylko przez moment. Powstrzymał je siłą woli.

- Nie powinnaś tego robić. Nie powinnaś wchodzić w taki interes z mojego powodu.

- Dlaczego? Tylko dla ciebie mogę zrobić coś takiego

- powiedziała cicho.

Mark skulił się i odwrócił do siostry.

- Kocham cię, Mark - dodała Mackenzie po chwili ciszy.

- Ale straciłam cię i chciałam odzyskać.

Mark podszedł do najbliższej sosny i w zamyśleniu zaczął skubać jej korę.

- Podoba mi się tutaj - przyznał ze ściśniętym gardłem.

- Nie chcę wracać do Los Angeles. Gdybym był mężczyzną, skłamałbym i powiedział, że tego chcę. Przekonałbym cię, że pragnę tam wrócić, żebyś ty mogła ułożyć sobie życie. Wtedy nie musiałabyś za niego wychodzić.

Teraz łzy pojawiły się w oczach Mackenzie. Podeszła i stanęła tuż obok brata.

- Wydawało mi się, że lubisz Abła.
- Mark pociągnął nosem i kopnął lekko pień sosny.
- Lubię. Ale to ty masz za niego wyjść.

Mackenzie obróciła go ku sobie.

- To dobry człowiek, Mark. Mogłam trafić gorzej, Dużo gorzej. I chcę, żebyś wiedział jeszcze jedno. Ja też go lubię. I to bardzo. Będzie dobrze - zapewniła chłopca, widząc niepewność w jego oczach. - Całej naszej trójce.

Patrzył na nią z taką nadzieją, że zapomniała o rezerwie i chwyciła go w ramiona. Dawny Mark wyrwałby jej się natychmiast. Ten nowy pozwolił się uściskać.

- Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale wydaje mi się, że Abel tak samo potrzebuje nas, jak my jego. Chodźmy do środka, zobaczmy, jak idą przygotowania.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maggie i Scarlett zamieniły chatę Abła w katedrę. I choć zapewniały ją, że nie było to takie trudne, Mackenzie wiedziała swoje.

Wszędzie paliły się świece. Czerwone. Zielone. Mleczno-białe. Duże, małe, cienkie, grube, okrągłe i stożkowate. Pływające w kryształowych wazach i ozdobione wstążkami oraz złotymi dzwoneczkami. Stały na wszystkich parapetach, na niskich stoliczkach i na udekorowanej iglastymi gałązkami półeczce nad kominkiem, która miała pełnić rolę ołtarza.

Całe wnętrze pachniało cedrem, cynamonem i igliwiem. Na schodkach wiodących na poddasze stały gwiazdy betlejemskie - purpurowe, różowe, białe.

Poprzedniego dnia J.D., Mark i Casey wybrali się do lasu i znaleźli wspaniałą choinkę. Ścięli ją i z pomocą koni przyciągnęli do domu.

Miała ponad trzy i pół metra wysokości, więc przystrojona w mrugające lampki, błyszczące girlandy i inne ozdoby, dostarczone przez Scarlett, stojąc w rogu salonu wyglądała jak królowa z baśni.

Wszystko było przepiękne i, o dziwo, Mackenzie czuła, że zasługuje, by być częścią tego obrazu. Wchodząc do salonu, ujrzała swoje odbicie w jednym z ogromnych okien i... pozwoliła sobie na dyskretny uśmiech.

Przy pełnej entuzjazmu pomocy Maggie i Scarlett przeistoczyła się z pospolitej Mackenzie Jane Kincaid w urodziwą pannę młodą.

Kiedy poprzedniego dnia Maggie nalegała, by wybrały się do miasta po suknię, Mackenzie znalazła się w kłopotcie. Nie wiedziała, jak jej powiedzieć, że nie ma na to pieniędzy.

W końcu jednak musiała to wyznać.

- Nie ma sprawy - odparła Maggie i po prostu wepchnęła ją do swego dzipa. - Abel kazał kupować wszystko, co będzie ci potrzebne, i nie martwić się o pieniądze.

Mackenzie przez chwilę walczyła z wątpliwościami, ale w końcu się poddała. Abel obiecał, że będzie się nią opiekował, i po prostu dotrzymuje słowa.

Nie szukała tradycyjnej sukni z białego jedwabiu i koronek. Bo i ślub przecież nie miał być tradycyjny.

W sklepie jej wzrok padł na skromną, ale bardzo szykowną suknię z miękkiej jak jedwab wełnianej krepy. Kiedy przy mierzyła ją i zobaczyła zachwyt w oczach Maggie, wiedziała, że dokonała właściwego wyboru.

Mackenzie dotknęła ręką swoich włosów, ułożonych zręcznymi rękami Scarlett i ozdobionych przez Casey gałązkami gipsówki.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak bardzo kobieca. Uświadomiła to sobie, odrywając wzrok od swego odbicia w szybie i spoglądając w ciemne, nieprzeniknione oczy pana młodego.

Zabrakło jej tchu. Serce zaczęło bić jak oszalałe.

Abel zawsze wydawał jej się dziki i ponury. Nigdy nie widziała go poskromionego. Teraz miał na sobie garnitur - równie ciemny jak włosy, związane teraz cienką, czarną wstążką - który podkreślał jeszcze bardziej masywność jego

ciała. Biała koszula ładnie kontrastowała z brązowym kolorem jego skóry.

Najbardziej znamieny był jednak wyraz oczu tego stojącego przy zaimprovizowanym ołtarzu mężczyzny. Patrzył na swoją narzeczoną jak człowiek honoru. Delikatny i wrażliwy, któremu tylko ona może pomóc w ujawnieniu tych fundamentalnych cech.

Te oczy nie umiały już zwieść Mackenzie. Kiedyś uważała je za nieprzeniknione. Teraz umiała w nich czytać. I to, co w nich widziała, napełniało jej serce nadzieją.

Ściskając mocno bukiet zrobiony z gałązek ostrokrzewu, białych goździków i czerwonych róż pewnym krokiem podszła do Abła.

Nieświadoma niczyjej obecności, oprócz tego czekającego na nią mężczyzny, minęła przytulonych J.D. i Maggie, którzy patrzyli na nią z pobłażliwym uśmiechem. Przeszła obok Scarlett i Casey i nie zauważyła ich zadowolonych min. Na pytające spojrzenie Marka odpowiedziała mrugnięciem i stanęła u boku narzeczonego.

Abel ujął ją za rękę. I choć nie była na to przygotowana, w tej samej chwili poczuła, że oddała mu swoje serce.

Po przysięgach złożonych w blasku świec Mackenzie Kincaid została panią Greene.

Toasty spełnione szampanem, serdeczne uściski i szczerze gratulacje udowodniły jej, że zaakceptowali ją wszyscy przyjaciele Abła.

Po zakończonej ceremonii stała wraz z mężem w progu i patrzyła za odjeżdżającymi J.D. i Maggie, którzy zabrali też ze sobą pastora.

- Nie musisz się martwić o Marka - rzekł Abel, spoglądając jej w oczy.

Scarlett i Casey odjechały przed Hazzardami. Twierdząc, że nowożeńcy muszą mieć trochę czasu tylko dla siebie, wzięły ze sobą na kilka dni Marka.

- O tej porze roku mamy mnóstwo wolnych pokoi - powiedziała z uśmiechem Scarlett. - Uczniowie mają przerwę aż do Bożego Narodzenia, więc Casey trochę się nudzi. Pokaże Markowi jezioro, może nawet przedstawi go jakimś swoim znajomym, żeby nie zaczynał semestru, nie znając nikogo.

Mark oczywiście udał, że jest mu wszystko jedno.

- Nie o niego się martwię - przyznała Mackenzie, spoglądając znów przez okno. - Myślę o Scarlett i Casey - wyjaśniła.

- Dadzą sobie z nim radę.

Ale czy ja dam sobie radę z tobą? zastanawiała się w myślach Mackenzie. Spłoszyła się, widząc, jak jej mąż zdejmuje krawat.

Jej mąż.

Poczuła przedwesełną treść, tyle że o dwie godziny za późno. Taki już jej los.

Do tej pory była pewna siebie i dopiero w tej chwili naprawdę zrozumiała, że jest żoną tego mężczyzny. Załatwił wszystko - od zdobycia aktu ślubu po wybór obrączki, którą teraz nosiła. Musnęła ją delikatnie palcami, wiedząc, że on nosi identyczną, rozgrzaną ciepłem jego ciała.

Nagle poczuła, że nie wie, co zrobić z oczami, z rękami i w ogóle ze sobą.

Świadoma, że Abel ją obserwuje, na sztywnych nogach podeszła do ognia, chłonąc w siebie jego uspokajający żar.

- Nie mam zamiaru rzucić się na ciebie.

Zaskoczył ją smutny ton jego głosu. Kiedy odwróciła się i spojrzała mu w oczy, zobaczyła, że i one są smutne.

Przyglądała się, jak wieszka krawat na oparciu krzesła i roz-
pina dwa górne guziki koszuli.

- Na... nawet mi to nie przyszło na myśl.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie myślała o tej chwili. Kiedy wyobrażała ich sobie razem, a zdarzyło się to nie raz, byli już poza tą wstępną fazą. Stali najpierw przed ołtarzem, ona mówiła „tak”, a potem w marzeniach przenosiła się już na ogromne łoże, na którym leżeli nadzy, spleceni w uścisku.

- Chcesz może trochę szampana? J.D. będzie zawiedziony, jeśli się dowie, żeśmy go nawet nie spróbowali.

Mackenzie zmusiła się do uśmiechu. Powoli zaczynała się uspokajać.

- Był bardzo z siebie dumny, że go nam załatwił.

Abel skinął głową.

- Zaradny z niego człowiek.

- I dobry przyjaciel - dodała, by przedłużyć jeszcze tę bezpieczną rozmowę.

Zapadło milczenie i Mackenzie dopiero po chwili zorientowała się, że Abel wciąż patrzy na nią i czeka na odpowiedź. Problem polegał na tym, że zapomniała, o co pytał.

Przypomniała sobie dopiero wówczas, kiedy uniósł butelkę.

- A, tak. Chętnie, jeśli i ty się napijesz.

Abel zawahał się na moment, potem rozlał szampana do kieliszków.

Podszedł wolno do niej i wręczył jej naczynie pełne perlistego trunku.

Drżącą ręką uniosła je do ust, a kiedy wypowiedział jej imię, omal nie upuściła kieliszka.

- Mackenzie.

Zabrzmiało to jak delikatna pieszczota.

- Masz piękną suknię. Pasuje do barwy twoich oczu.

Zdziwiły ją jego słowa. Poczwała, że robi jej się gorąco i że nie ma to nic wspólnego z ogniem z kominka.

Dlaczego nagle zapomniała języka w gębie? Mackenzie Kincaid, która na wszystko miała odpowiedź, teraz zamilkła. A Abel Greene, który mówił tylko wtedy, kiedy ktoś go sprovokował, nie miał z mówieniem najmniejszego kłopotu.

- Pięknie dziś wyglądasz.

Ten człowiek naprawdę jest zagadką. Twierdzi, że jest niezdolny do głębszych uczuć, ale wie, jak zmiękczyć jej serce pięknymi słowami i smutnym spojrzeniem. I grubą, złotą obrączką.

Zawstydzona spuściła oczy.

- Czy... tak trudno przyjąć ode mnie komplement?

- Nie, ależ nie - zaprotestowała szybko. - Ja tylko... nie spodziewałam się tego. I w ogóle... to nie mam w tym szczególnego doświadczenia.

Zmieszana tym wyznaniem, znów się zarumieniła. Upiła łyk szampana, a potem, zaniepokojona przedłużającą się ciszą, odważyła się spojrzeć na męża.

- Nigdy nie uważałam się za ładną. Dziękuję. Ale nie musiałeś tego mówić - dodała, odzyskując nieco pewności siebie. - Czyżbyś zapomniał, że jestem już twoją zdobyczą - przypomniała mu, wskazując obrączkę na swoim palcu.

Abel nie odpowiedział, tylko w milczeniu dotknął ręką jej włosów i delikatnie wysunął z nich gałązkę gipsówki.

- Jak sama zauważyłaś - zaczął, przyglądając się delikatnym, białym kwiatuśkom, które w jego ogromnej dłoni здаwały się jeszcze drobniejsze - nie jestem gadułą. Nie tracę słów na mówienie tego, czego nie myślę.

Nawet gdyby powiedział jej, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie, nie miałoby to na nią większego wpływu.

- Jesteś dziewicą, Mackenzie?

Nie spodziewała się, że Abel znów ją zaskoczy. W każdym razie nie tak szybko. Uznała jednak jego pytanie za mądre, szczerze i konieczne.

- Nie jestem dziewicą. Ale moje... doświadczenia w tym zakresie były niewielkie. By...byłam ostrożna. Nie musisz martwić się o...

Kiedy dotknął delikatnie kciukiem jej warg, przerwała dalsze wyjaśnienia. Jej serce nagle przestało bić. Zabrakło jej tchu.

- Nie o to mi chodziło.

- Nie? - szepnęła.

- Nie. Chciałem tylko wiedzieć, czy masz już jakieś doświadczenie. Nie chcę cię skrzywdzić.

Zrozumiała, że wpadła. Tamtego ranka w kuchni udawała doświadczoną. Bezcelnie usiadła mu na kolanach, choć było jej aż słabo ze strachu.

Oczywiście osiągnęła to, co chciała. Uwiodła go. Ale nie swoją seksualną odwagą czy doświadczeniem, lecz niewinnością. Drżeniem rąk, przyspieszonym oddechem, łomotem serca.

Pragnął jej od tamtej chwili. Wciąż czuł smak jej niedoświadczonych ust i marzył, by nauczyć ją czegoś więcej.

Choć żałował, że nie jest w stanie ofiarować jej miłości, mógł dać jej fizyczną przyjemność.

- Chodź - rzekł po prostu.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do łóżka.

W grudniu nad jeziorem mrok zapadał szybko. Była dopiero piąta, a w sypialni Abla panowała już prawie ciemność. Kiedy stanął przed nią, milczała.

Była pewna, że Abel ma piękne ciało. Jeszcze zanim zdjął marynarkę i rozpiął koszulę, wiedziała, że jego skóra okaże się gładka i złocista.

Nie wiedziała jednak, że jej pożądanie zwycięży wszelkie opory. Kiedy wziął ją za rękę przy ołtarzu, oddała mu swoje serce. Kiedy powiedział, że jest piękna i poprowadził ją do łóżka, przestała się wstydić.

Wiedziała, że nie powinno tak być. Przecież prawie go nie zna, a to, co o nim wie, powinno ją powstrzymać przed zachowaniem się w tym człowieku. Nie żartował, mówiąc, że spodziewając się czegoś więcej niż seksu, bardzo się rozczaruje.

Nie była jednak w stanie mu się oprzeć. To było silniejsze od niej. Wyciągnęła ku niemu rękę i nie było w tym geście wahania.

Nie bała się, że ją odepchnie. Jej mała dłoń odcinała się wyraźnie na tle jego umięśnionej, brązowej piersi.

Zamknęła oczy, kiedy rozsunał zamek jej sukni. Wsparała się o niego, bo bała się, że upadnie. Czula jego gorący oddech.

- Nie boisz się?

Czula różne rzeczy. Pożądanie. Pragnienie. Tęsknotę. Ale na pewno nie strach.

- Nie boję się - odpowiedziała.

A potem mu to udowodniła.

Zsunęła z ramion suknię i pozwoliła jej opaść na podłogę.

Abel znieruchomiał. Spoglądał na nią z nie ukrywaną fascynacją, budząc do życia każdą drobinę jej ciała, sprawiając, że Mackenzie pragnęła pieścizot jego dłoni i ust.

- Zbyt łatwo ufasz ludziom.

Drżącymi palcami pogładziła jego policzek.

- Tylko wtedy, kiedy wiem, że jestem bezpieczna.

Oczy mu pociemniały.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Mackenzie.

Nie miał na myśli krzywdy fizycznej. Mówił o innym rodzaju bólu. O takim, który znał aż za dobrze i który powstrzymał go przed zaoferowaniem jej czegoś więcej.

- Wiem.

Czuła, że i on chce, by stali się naprawdę mężem i żoną.

- Pocałujesz mnie? - szepnęła. - Tak jak wtedy w kuchni?

Abel uniósł ręce i ujął jej głowę. Patrząc Mackenzie w oczy, dotknął wargami jej ust. Nie był to jeszcze pocałunek, lecz jego zapowiedź.

A jednak zabrakło jej tchu.

Objęła palcami jego nadgarstki i przyciągnęła je do siebie.

- Proszę... proszę - szepnęła i zanurzyła palce we włosach Abela.

Smakował szampanem, niebezpieczeństwem i pożądaniem.

Jego ręce były niestrudzone. Czuła je na swoich ramionach, plecach, biodrach. Dotknęła jego wyprężonej męskości.

Jęknęła, kiedy uniósł ją i otoczył jej nogami swoje biodra. Wsunął palce pod małe, jedwabne majteczki, szukając jeszcze bliższego kontaktu.

Nie czuła zakłopotania czy niepewności. Tylko pożądanie. Kiedy rozchylił wilgotne, delikatne wargi wiodące do tego miejsca, które najbardziej go pragnęło, przyszedł orgazm. Tak szybko, że aż ją to przeraziło. Tak mocny, że krzyknęła.

Nie spodziewała się, że będzie aż tak cudownie. Nie spodziewała się, że nagle świat przestanie dla niej istnieć.

- Dziękuję - szepnęła, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Abel przycisnął ją mocno do siebie. Czuł na swej skórze jej gorące łzy. Nie pierwszy raz sprawiał przyjemność kobiecie. Często za to mu dziękowano. Nigdy jednak z takim za-

chwycem i taką słodką niewinnością. I nigdy jeszcze tak bardzo go to nie ucieszyło.

Przy Mackenzie zapragnął rzeczy, które były niemożliwe. Chciał zanurzyć się nie tylko w jej ciele, ale i w duszy.

Powiedział jej, że jest ładna, a ona sprawiła, że czuje się tak, jakby podarował jej coś wspaniałego. On, który zawsze tylko brał. To dziwne uczucie dla mężczyzny, który nigdy z żadną kobietą nie miał ochoty na nic bardziej skomplikowanego niż seks. Tylko tyle potrafił dawać - fizyczne zespolenie i wzajemną satysfakcję.

A przy tej kobiecie, która jest teraz jego żoną, zapragnął dawać.

Zdjął resztę ubrania i nie odrywając wzroku od Mackenzie, położył się obok niej.

- Jesteś pięknym mężczyzną, Ablu - szepnęła.

Wiedział już, że potrafi go podniecić. Nie miał jednak pojęcia, że potrafi też zakłopotać. Przesunął palcem po jedwabistym rowku między jej piersiami.

- Różnie mnie w życiu określano. Ale nikt nie nazwał mnie pięknym.

Mackenzie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- A więc cieszę się, że ja ci to pierwsza powiedziałam.
- Nagle zawstydzila się i uniosła rękę do jego włosów. - Rozwiążesz je dla mnie?

Pełno w niej było sprzeczności. Chętnie prawila komplementy, ale sama nie umiała pochwał przyjmować. Chętnie i szczerze dawała, ale nie umiała o nic prosić, jeśli sama czegoś chciała.

To będzie jej pierwsza lekcja. Nauczy tę ptaszynkę brać w łóżku to, czego pragnie.

- Ty je rozwiążesz - rzekł - kiedy będziesz chciała.

Uniósł jej dłoń do swoich ust. Jej skóra była jedwabście miękka, podobnie jak włosy. Westchnęła, kiedy włożył palec pod ramiączko halki i zsunął ją jej z ramienia.

Odslaniając kolejne centymetry ciała Mackenzie, Abel czuł rosnący słodki ból poniżej brzucha. Z zachwytem patrzył na jej pełne piersi i twarde sutki.

Był stuprocentowym mężczyzną i od dawna nie miał kobiety. A Mackenzie była drobna i bardzo delikatna, choć starannie próbowała to ukryć.

- Powiedz mi, jeśli to dla ciebie będzie za szybko - szepnął.

Zamiast tego powiedziała mu, czego pragnie. Ale nie słowami. Zmysłowym ruchem ramienia zsunęła halkę. Zalotnie uniosła biodra i zsunęła figi.

Tłumiąc jęk, Abel starał się pamiętać, że powinien być delikatny. Ale patrzeć na nią już mu nie wystarczyło. Dotykanie też już nie. Przypomniawszy sobie smak jej skóry, który poczuł, gdy tamtego ranka ssał jej różową, twardą sutkę.

Wsparł się na łokciu, opuścił głowę i zanurzył usta w zagłębienie jej szyi.

Pachniała truskawkami, śmietanką i niewinnością.

Nie wiedziała, jak na niego działa. Nie miała pojęcia, że otaczając go ramionami i przywierając do niego całym swym spragnionym ciałem, rozwiewa w nicosć wszystkie jego dobre intencje.

Nie chciał się spieszyć, ale teraz nie był już w stanie nad sobą panować. Wziął do ust twardą sutkę. Jeszcze nigdy kobiece piersi nie smakowały tak słodko. Seks nie był tak cudowny. Wmawiał sobie, że to z powodu długiej abstynencji. Od tak dawna nie miał kobiety.

Ale kiedy ujęła w dłoń jego męskość, zrozumiał, że tylko ona może dać mu prawdziwą rozkosz.

- Uczyń mnie swoją żoną - szepnęła i uniosła dłonie ku jego włosom. Pociągnęła za wstążkę i jęknęła, kiedy zalała ją kaskada atramentowoczarnych włosów. Zamknęła oczy i wdychała ich zapach.

- Uczyń mnie swoją żoną - powtórzyła. Przygarnęła Abła do siebie i zrobiła mu miejsce między swymi udami.

Wygięta w łuk przyjęła go w siebie, a on marzył, by zostać tam na zawsze.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy zsunął się z niej i zapadł w krzepiący sen, Mackenzie jeszcze długo leżała, wpatrując się w księżyc za oknem.

W jej głowie i sercu kłębiły się tysiące myśli i uczuć. Podniecenie. Zawstydenie. Zachwyty. Odwróciła głowę i przyglądała się swemu śpiącemu mężowi.

Miłość.

Nadzieja.

Myli się. Tak bardzo się myli. Wcale niełatwo obdarza ludzi zaufaniem. A on nie jest odporny na pragnienia swego serca. Gdyby był obojętny, nie mógłby tak słodko się z nią kochać, z taką troską o jej potrzeby.

Zarumieniła się, przypominając sobie ciepły dotyk jego rąk i ust. Przesunęła wzrok na jego wspaniale umięśnione ciało - na tę część przykrytą skrawkiem białego prześcieradła i oświetloną blaskiem księżycy - i zapragnęła go znowu. Zaskoczyła ją intensywność tego pragnienia.

Nigdy nie uważała się za osobę zmysłową. I nigdy nie przypuszczała, że mogłaby tak lubieżnie oddać się jakiemuś mężczyźnie. Ale Abel Greene nie jest jakimkolwiek mężczyzną. Jest jej mężczyzną, a więc ona uczyni wszystko, co w jej mocy, by zaspokoić wszelkie potrzeby jego serca, nie tylko ciała.

Nie będzie jednak miała na to siły, jeśli nie będzie jadła.

Musi coś zjeść i to szybko. Była zbyt zdenerwowana, by delectować się wspaniałą weselną ucztą, jaką przygotowały Maggie i Scarlett, a o porannej grzance i kawie już dawno zapomniała.

Zsunęła się delikatnie z łóżka, by nie obudzić Abla, i włożyła na siebie pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w ręce. Była to jego biała koszula. Była taka sama, jak Abel Greene - duża, szorstka i pachnąca zmysłowo.

Podwinęła za długie rękawy, zapięła kilka guzików, a potem na palcach wyszła z sypialni.

W salonie płonął jeszcze w kominku słabiutki ogień, paliły się świece, napełniając pokój zapachem cynamonu, wawrzynu i wanilii.

Naśladując Abla, odsunęła siatkowy ekran zasłaniający ogień i wrzuciła do kominka polano. Potem wstała i z uśmiechem przyglądała się, jak ochoczo liżą je płomienie.

- Zdolna jesteś, Mackenzie Greene - powiedziała zadowolona z siebie. Jej nowe nazwisko też bardzo jej się podobało.

Wytarła ręce i podreptała do kuchni.

Stojący na blacie weselny tort wyglądał zachęcająco. Zapaliła małą lampkę nad zlewem i rozejrzała się za nożem. Nagle poczuła niesamowity głód. Nie zawracała sobie głowy talerzem ani widelcem. Odkroiła ogromny kawał lukrowanego ciasta, chwyciła go w palce i podniosła do ust.

Taką właśnie zastał ją jej mąż.

Zapalone nagle górne światło zaskoczyło Mackenzie. Z pełnymi ustami i palcami w kremie spojrzała za siebie.

Abel, ze skrzyżowanymi na nagiej piersi ramionami, stał w progu. Miał na sobie nie do końca zapięte dżinsy i nic poza tym.

I był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

A ona, w jego za dużej koszuli, z rozczochranymi włosami, wygląda na pewno równie pociągająco, jak worek z kartoflami.

Przełknęła kęs tortu i uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- Zgłodniałam - wyznała, podkreślając swoje słowa lekkim wzruszeniem ramion.

Abel patrzył na nią w milczeniu. Była to właściwie lustracja. Zaczął od bosych stóp, potem powoli przesunął wzrok po jej ciele i zatrzymał się na twarzy.

Jego oczy płonęły. Odpowiedziała mu tym samym, zdziwiona jednak, że widząc ją w takim stanie, wciąż jej pragnie.

- Chcesz... trochę... - spytała, kiedy szedł ku niej - tortu? Westchnęła leciutko, kiedy mruknął „proszę”.

Zahipnotyzowana jego spojrzeniem, stała bez ruchu. Powietrze między nimi pulsowało zmysłowym napięciem.

- Wspomniałaś coś o torcie.

Mówił tak cicho, że dopiero po chwili dotarły do Mackenzie jego słowa.

- Ach tak, rzeczywiście.

Z bijącym jak oszalałe sercem odwróciła się w stronę blatu, by ukroić Ablowi kawałek tortu, lecz on chwycił ją za nadgarstek i obrócił ku sobie.

- Nie. - Jego rozmarzony wzrok spoczął na cieście, które trzymała w palcach. - Chcę ten kawałek.

Mackenzie przestała oddychać, kiedy uniósł jej dłoń do swych ust.

Nogi ugięły się pod nią, kiedy wolniutko i dokładnie zlizywał krem z jej palców, a potem z wnętrza dłoni.

Później objął ją w pasie i posadził na blacie.

Poczuła jego chłód na nagich pośladkach, lecz natychmiast rozgrzało ją spojrzenie Abła. Nachylił się ku niej i już czekała na pocałunek, lecz on tylko delikatnie zlizął z jej warg odrobinę kremu.

- Jesteś taka słodka - szepnął. -I bardzo upačkana.

Mackenzie z trudem przełknęła ślinę i drżała, kiedy jego język dotykał jej warg.

- Chyba zjem jeszcze trochę.

Abel zanurzył palce w lukrze i uniośl je do ust.

Nie odrywając wzroku od Mackenzie, wolno zlizywał słodycz z palców.

Mackenzie patrzyła jak zahipnotyzowana na ruchy jego języka.

- Pyszne. Ale na tobie smakuje lepiej.

Chyba nie wytrzymam, pomyślała i drżącymi rękami chwyciła blat, kiedy Abel zaczął rozsmarowywać lukier na jej szyi i nagich ramionach.

Zadrżała, kiedy w ślad za jego palcami poczuła na swojej szyi jego język.

Później, kiedy ta część jej ciała była już czysta, rozpiął koszulę Mackenzie.

- Coraz bardziej mi smakuje ten lukier - mruknął, pokrywając nim nagie piersi żony.

Przywarł do nich i lizał, pomrukując cicho. Mackenzie przyciągnęła do siebie jego głowę, błagając, by przestał.

Wtedy i on stracił nad sobą panowanie. Chwycił ją w pasie, zdjął z blatu i położył na plecach na stole. Wyciągnęła ku niemu ręce i uniosła biodra, czekając w napięciu, aż zdejmie dzinsy. Potem rozłożyła nogi i powitała go w sobie.

Wykrzyknęła jego imię. On zaś wszedł w nią mocno, do końca, głęboko.

Z każdym ruchem wznosiła się wyżej, aż przestała czuć, że drży na twardym, zimnym stole, a ostre światło razi ją w oczy. Była świadoma tylko tego, że jest razem z Ablem.

Wraz z nim osiągnęła ten wyjątkowy szczyt, gdzie rządzi pożądanie. I gdzie nie mogła się wyprzeć miłości do tego mężczyzny, którego właśnie poślubiła.

Kiedy jego mały ptaszek był już zmęczony, Abel niechętnie opuścił ciepłe i wilgotne schronienie w jej ciele. Włożył dzinsy i spojrzął na stół, by ocenić skalę zniszczeń.

Mackenzie leżała bezwładnie z zamkniętymi oczami. Jej delikatne piersi były opuchnięte i zaczerwienione od gwałtownych pieszczot męża.

- Sprawilem ci ból, zielonooka?

Mackenzie natychmiast otworzyła oczy. Jej obrzmiałe od pocałunków wargi rozchyliły się w uśmiechu.

- Tak, to był bardzo... bardzo słodki ból - szepnęła i znów zamknęła oczy. - Pierwszy raz widzę kogoś, kto tak uwielbia lukier.

Teraz i on się uśmiechnął. Z ulgą.

- Nie ruszaj się - rozkazał i wyszedł z kuchni po koc.

Wcale nie zamierzał atakować Mackenzie. Kiedy się obudził i nie znalazł jej obok siebie, wstał, by jej poszukać. Nie był tak zupełnie obojętny. Zaniepokoił się, że może poczuła się zakłopotana. Chciał zapewnić ją, że go zadowoliła, i równocześnie upewnić się, że jej nie skrzywdził.

Zamiast zawstydzonej dziewczynki zastał wspaniałą, dumną, szczęśliwą kobietę. Zapomniał, po co przyszedł do kuchni, i marzył tylko, by znów ją całować.

Tylko całować. Nic więcej. I od tego nawet zaczął, a potem już było za późno.

Kiedy wrócił do kuchni z kocem, na widok Mackenzie omal nie zaczął wszystkiego od nowa. Zaciął jednak usta i kilka razy odetchnął głęboko. Potem owinał żonę kocem, wziął na ręce i zaniósł na kanapę stojącą przed kominkiem.

- Nie odchodź - szepnęła.
- Zaraz wrócę - uspokoił ją. - Musisz coś zjeść.

Mackenzie zmrużyła oczy i uśmiechnęła się słodko i uwodzicielsko.

- Coś bardziej konkretnego niż tort - dodał i prawie wybiegł z salonu, by nie ulec pokusie, nie zerwać z niej koca i nie kochać się z nią znowu.

Jadła jak wygłodniałe zwierzątko. Albo wcześniej tego nie zauważył, albo do tej pory jakoś się z tym kryła. Rzuciła się na kanapkę, którą jej przyniósł, z takim apetytem, jakby nie miała nic w ustach: od tygodnia.

Patrzył na nią z zachwytem, lecz nie chciał zastanawiać się, dlaczego. Nie był szczeniakiem, którym rządzą hormony. Był dojrzałym mężczyzną, który zawsze szczylił się tym, że umie nad sobą panować.

A ona była kobietą, która go tej umiejętności pozbawiła.

Spojrzał na zegar i zaklął. Dochodziła siódma. Noc właściwie jeszcze się nie zaczęła. Tyle godzin ciemności przed nimi. Znowu pragnął osiąść Mackenzie, ale wiedział, że musi się od tego powstrzymać. Jeszcze nie sprawił jej bólu, lecz jeśli ulegnie pożądaniu, rano oboje będą potrzebowali lekarza.

Musi się od niej oderwać. Albo może oboje powinni się czymś zająć. Ten drugi pomysł bardziej mu się podobał.

- Masz ochotę na trochę gimnastyki? - spytał, kiedy Mackenzie skończyła jeść.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- Powiem inaczej. Czy masz ochotę pogimnastykować się na dworze i łknąć świeżego powietrza?

Mackenzie przestała się uśmiechać i niepewnie spojrzała na okno.

- Jest ciemno.

- Nie tak bardzo. Księżyc jest w pełni. Wszystko widać.

- Dobrze. - Wzruszyła ramionami. - Czemu nie.

- To ubierz się, a ja zajrzę jeszcze na chwilę do Naszaty i małych.

Mackenzie była zadowolona. Choć wiedziała, że nie należy mylić pożądania z miłością, wychodząc wraz ze swym mężem w grudniową noc, czuła obie te rzeczy.

Abel miał rację. Było bardzo jasno. Wielki, żółty księżyc wisiał nisko nad ubranymi w śnieżne czapy sosnami. Wiał lekki wiatr. W górze migotały jasne gwiazdy, jakich nigdy nie widziała na zadymionym miejskim niebie.

Przystanąła i z zachwytem wpatrywała się w ten nowy dla niej świat.

- Niesamowite - wyszeptała w końcu.

Abel też przez chwilę milczał, a potem zaskoczył ją swoim pierwszym zwierzeniem.

- To właśnie dlatego tu wróciłem. Te ciche noce. Przejrzystość powietrza. Ta cisza tak doskonała, że słysząc spadające płatki śniegu.

- Długo cię tu nie było? - spytała cicho i nieśmiało.

Nie chciała naciskać na Abła, ale bała się, że za chwilę ten

nastrój zwierzeń pryśnie. Pragnęła wiedzieć, dlaczego stąd wyjechał? Dlaczego wrócił? Dlaczego tak boi się zaufać ludziom?

Kiedy ruszył przed siebie, podążyła za nim.
Odezwał się dopiero, kiedy znaleźli się przy stajni.

- Wyjechałem stąd, kiedy miałem osiemnaście lat. Pięć lat temu postanowiłem wrócić.

Mackenzie chciała dowiedzieć się więcej, ale postanowiła poczekać, aż Abel powie jej to sam z własnej woli.

- Mądra decyzja - powiedziała z uśmiechem.

Abel zrobił znów tę swoją ponurą minę, otworzył drzwi stajni, zapalił światło i przepuścił ją pierwszą.

Para czarnych koni stała sobie spokojnie w otwartych bokach. Mackenzie wiedziała o nich, słyszała, jak Mark z zachwytem wychwalał ich pomoc przy ciągnięciu do domu choinki, ale pierwszy raz widziała je z bliska.

- Ależ one są ogromne - powiedziała, rzeczywiście zaskoczona ich wyglądem. - Czym ty je, do licha, karmisz?

Przyglądała się, jak Abel zdejmuje z kołka płaską, okrągłą szczotkę.

- Owsem. Sianem. W zimie czasem kukurydzą, żeby było im cieplej - odparł, przeciągając szczotką po grzbiecie jednego z koni.

- A co one robią oprócz tego, że jedzą?

Abel przeszedł teraz do drugiego konia.

- Niewiele. Czasami używam ich do ciągnięcia bali, kiedy skuter śnieżny nie wystarcza. A tak, prawdę mówiąc, to po prostu lubię je mieć w swojej zagrodzie.

Mackenzie podeszła bliżej. Abel odłożył zgrzebło i zdejmował teraz z kołka jakieś zwoje skórzanych pasów.

- Co robisz?

- Przygotowuję im uzdy.

Mackenzie zaniepokoiła się.

- Robisz to dlatego, że... - zaczęła, lecz przerwała z obawy przed odpowiedzią, którą już właściwie знаła.

Abel krzątał się przy koniach, coś zapinał, coś przyczepiał.

- Pomyślałem, że może miałabyś ochotę na przejażdżkę.

W tej chwili miała jedynie ochotę na to, by wrócić do chaty i ukryć się pod kołdrą w jego wielkim, miękkim łóżku. Lecz prędzej zjadłaby całe to końskie siano, niż się do tego przyznała.

Wiedziała, że proponuje przejażdżkę myśląc, że sprawi jej przyjemność. Postanowiła więc, że choćby nie wiem co, będzie się nią cieszyć.

Kiedy Abel chwycił konie za uzdy i wyprowadził na dwór, Mackenzie nie wyszła za nimi. Zrobiła to dopiero na jego wyraźną prośbę. Stała obok jednego z koni, który z bliska wydawał się jeszcze większy.

- Bez drabiny na pewno na niego nie wsiądę - oznajmiła stanowczo.

Abel spojrział na nią uważnie.

- Nie potrzebujesz żadnej drabiny - rzekł spokojnie. - Po prostu wyciągnij rękę i chwyć klacz za grzywę. Potem postaw nogę na mojej ręce, a ja cię podsadzę.

Mackenzie wciąż nie była przekonana.

- A dlaczego właściwie nie przejedziemy się skuterem?
- spytała z nadzieją, że może uda jej się skłonić Abła do zmiany planów.

- Żeby móc cieszyć się tą nocą w ciszy.

Zanim zdążyła odrzec cokolwiek, Abel chwycił ją w pasie, uniósł wysoko w powietrze i posadził na szerokim, nagim grzbiecie konia.

Wcale nie miała zamiaru krzyknąć. Zresztą nawet nie zauważyła, że krzyknęła, dopóki nie poczuła, jak tona mięśni i kopyt zaczyna pod nią tańczyć na twardym, ubitym śniegu.

Pieszczotliwym tonem i delikatnymi słowami Abel uspokoił spłoszone zwierzę.

Z szeroko otwartymi ze strachu oczami Mackenzie chwyciła się grzywy konia jak liny ratunkowej. Modliła się, by zwierzę nie rzuciło jej ze swego grzbietu.

- To nie był dobry pomysł. Nie powinnam była krzyczeć. Abel pokręcił głową i, jeśli nie zmyliły jej oczy, uśmiechnął się leciutko.

Od razu zapomniała o strachu. Sprawiała, że Abel Greene się uśmiechnął. Po raz pierwszy. To cud. Dodało jej to pewności siebie.

- No to jak, możemy ruszać? - spytał. Jedną ręką trzymał konia za uzdę, drugą za gęstą, czarną grzywę.

- Tak - odparła. Czowała rozgrzewające ciepło tego niewiarogodnego uśmiechu i od razu poczuła się lepiej. - Chyba możemy.

Abel bez dalszych słów chwycił za czarną grzywę drugiej klaczy i swobodnie wskoczył na jej grzbiet. Rzucił okiem na żonę, by się upewnić, że wciąż siedzi na swoim wierzchowcu, i ruszył przed siebie. Mackenzie właśnie zastanawiała się, jak sprawić, by jej koń też zaczął iść, kiedy nagle klacz sama z siebie podążyła wolno za swoją towarzyszką.

- Są tu jakieś hamulce? - zawołała do Abla. - Nie chcę się skarżyć, ale wydaje mi się, że powinny tu też być strzemiona czy coś w tym rodzaju.

Abel przystanął. Koń Mackenzie zrównał się z dosiadaną przez niego klaczą i też się zatrzymał.

- Tak mi nagle wpadło do głowy... - rzekł Abel. Po raz pierwszy jego głos brzmiał wesoło. - Czyżbyś ty nigdy nie siedziała na koniu?

- Jeśli można uwzględnić konie na karuzeli...

Na twarzy Abla znów pojawił się ten prawie niedostrzegalny uśmiech.

- Nie, chyba nie można.

- W takim razie nigdy. To mój pierwszy raz. Zresztą dziś w ogóle przez cały dzień robię różne rzeczy po raz pierwszy - dodała odruchowo, a potem, dla ukrycia zakłopotania, odegrała całe przedstawienie, klepiąc szyję konia i wygładzając jego zmierzwioną grzywę.

Nie chciała, by Abel widział, że się rumieni na samo wspomnienie - szczególnie tego, czego doznała w jego łóżku.

- Odpręż się i ciesz przejażdżką, Mackenzie - rzekł Abel, biorąc jej zakłopotanie za wahanie. - Klacz wszystko za ciebie zrobi. Jeśli tylko nie będziesz krzyczeć, jesteś na niej tak bezpieczna, jak w bujanym fotelu.

Mackenzie spojrzała na konia, potem zaś na męża.

- A więc jedźmy.

Tu cię mam, pomyślała z triumfem, bo Abel znów się uśmiechnął. Potem cmoknął i oba konie ruszyły.

Od tej chwili robiła wszystko, co Abel jej kazał. Odprężyła się. I cieszyła - surowym pięknem ośnieżonego lasu i obecnością towarzyszącego jej mężczyzny.

Las był pełen tajemniczych dźwięków i cieni. Abel co kilka chwil przystawał i kładł palec na ustach. Wkrótce na ścieżce przed nimi pojawiała się łania z małymi. Gdzieś w oddali pohukiwały sowy. Wszystko było takie piękne - świat nietknięty piętnem cywilizacji.

Choć zupełnie się tego nie spodziewała, zachwycała ją każda chwila. Tego, że pokocha tego mężczyznę, też się zresztą nie spodziewała.

Tak się rozmarzyła, że nie zauważyła, że opuścili las.

- Co się stało z drzewami? - spytała.

Przed nią rozciągał się kolejny cudowny widok. Ogromna, pusta, śnieżnobiała, pofałdowana przestrzeń.

- Jesteśmy nad jeziorem.

Nad jeziorem. Wiedziała, że leży ono niedaleko chaty Abła, ale nie podejrzewała, że okaże się takie wielkie i tak zachwycająco piękne. Wydawało się, że rozciąga się w nieskończoność, kilometr za kilometrem pokrytego śniegiem lodu otoczonego lasami, skałami i pustkowieciami.

- Legend Lake - szepnęła Mackenzie, zauroczona pięknym widokiem. Przypomniała sobie, że to jezioro jest źródłem mitów i podań.

Spojrzała na Abła. Ubrany w grubą puchową kurtkę, wsparty o szyję konia przyglądał się terenom, które należały do niego.

- Opowiedz mi jakąś legendę - poprosiła cicho.

Przez chwilę patrzył na nią w zadumie, potem znów skierował wzrok na jezioro.

- Mama opowiadała mi różne historie - rzekł z tą samą zadumą, którą widziała w jego oczach. - Takie, które kobiety z jej plemienia przekazywały sobie z pokolenia na pokolenie.

Milczenie żony zachęciło go do kontynuowania opowieści.

- U źródeł większości z nich leży legenda o Manabozo, wielkim cudotwórcy Indian Chippewa. Moja matka twierdziła, że potrafi się on zmieniać w różne zwierzęta.

- Mówisz tak, jakby ona w niego wierzyła.

Abel wzruszył ramionami.

- Chyba chciała w niego wierzyć. W jego mit, w coś cudownego i niewytłumaczalnego.

- Pamiętasz którąś z jej opowieści?

Kiedy lekko zwilgotniały mu oczy, zrozumiała, że pamięta wszystkie.

- Najbardziej lubiła historię o kradzieży ognia.

- Opowiedz mi.

- Kiedyś, jak głosi legenda, na tym właśnie brzegu rodziła Manabozo przeżywała bardzo ciężką zimę. Jezioro zamrzło, wiał ostry wiatr, a słońce rzadko wyglądało zza chmur.

Przerwał, a Mackenzie domyśliła się, że nie tylko szuka w myślach odpowiednich słów, ale i fragmentu swej przeszłości, do którego od dawna nie powracał.

- Kiedy zapytał swoją babkę, czemu jest tak zimno - mówił dalej w zadumie - powiedziała mu, że dawno temu ludzie mieli ciepło w swoich wigwamach, lecz pewien człowiek ukradł im ogień i od tamtej pory pilnie go strzeże. Manabozo przyrzekł swojej babce, że odnajdzie tego człowieka i przyniesie z powrotem ogień. Choć przekonywała go, że to niemożliwe, udał się na poszukiwanie. Zamienił się w orła i szybował nad jeziorem, aż wypatrzył dym wydobywający się z czubka wigwamu stojącego na dalekim brzegu. Wtedy zamienił się w królika, wskoczył do wigwamu, gdzie spał pilnujący ognia stary człowiek. Bardzo się ucieszył, ale szybko uświadomił sobie, że nawet jeśli ukradnie ten ogień, nie ma możliwości donieść go do domu. Wtedy wpadł mu do głowy pewien pomysł.

- Jaki? - dopytywała się zauroczona opowieścią Mackenzie. - Co zrobił?

- Wsadził ogonek do ognia i poczekał, aż się zapali. Wtedy, z płonącym futerkiem, najszybciej jak potrafił pokicał z powrotem do domu i tuż zanim zgasła ostatnia iskierka, dotarł do wigwamu swojej babki, która roznieciła płomień, dorzuciła hubę i zanim Manabozo stał się znów chłopcem, w ich wigwamie płonął już ciepły ogień.

- Którym podzielili się ze wszystkimi członkami plemienia - domyśliła się Mackenzie. Ze wzruszeniem wyobraziła sobie Abła jako małego chłopca, siedzącego u stóp matki i błagającego, by jeszcze raz opowiedziała mu tę historyjkę.

- Którym podzielili się ze wszystkimi członkami plemienia - potwierdził Abel.

Jego wzrok na moment spoczął na twarzy żony, potem znów powędrował na jezioro.

- To wspaniała opowieść - powiedziała Mackenzie.

- Moja matka była wyjątkową kobietą.

Jego pełen zadumy ton potwierdził jej przypuszczenia, że było to wspomnienie, na które od dawna sobie nie pozwalał.

Była wyjątkową kobietą, która wychowała tego małego chłopca na wyjątkowego mężczyznę, pomyślała Mackenzie. Dopiero teraz poczuła, że jest jej zimno, i zadrzała.

Abel spojrział na nią zatroskany.

- Zimno ci.

Mackenzie pokręciła głową.

- Może trochę. Po prostu po kalifornijskim upale chyba trudno mi się tu zaaklimatyzować.

Abel nic nie odpowiedział. Po prostu zsunął się ze swojej klaczy i wskoczył na grzbiet konia, którego dosiadała Mackenzie. Jeszcze nie przestała się dziwić jego sprawności, kiedy rozchylił poły kurtki i przytulił ją do siebie. Opatulił ją i przygarnął do siebie, a potem wyjął z jej dłoni cugle i ruszyli z powrotem do chaty.

Czuła ciepło jego ciała i opiekuńczy uścisk. I jak on wsłuchiwała się w ciszę zakłócaną tylko stapaniem końskich kopyt po śniegu.

Zastanawiała się, czy to wszystko aby jej się nie śni. Czy ona i ten mężczyzna, który trzyma ją w objęciach, nie są przypadkiem częścią którejś z tutejszych legend?

Aż trudno jej było uwierzyć, że zaledwie przed tygodniem bała się o życie swego brata. I o wiele innych rzeczy, do czego

nawet by się teraz nie przyznała. Była zmęczona tym, że to ona zawsze musi być tą silną, tą, która opatruje rany i naprawia wszelkie zło.

Tydzień temu czuła się samotna i pokonana. A teraz podziwia blask księżyca i gwiazdy, spotkała bowiem swego wybacziela, który nazywa się Abel Greene.

Czy to sen, czy jawa? Wszystko jedno. Czuła się bezpieczna. Po raz pierwszy od bardzo dawna spokojna, zasnęła w ramionach ukochanego, unoszona przez wspaniałą belgijską klacz poprzez dziki, zaśnieżony las.

Udawała, że śpi, i przytuliła się do piersi męża.

- Mackenzie.

Ciepły oddech owionął jej twarz, a pod brodą poczuła czyjś delikatny dotyk palca.

- Obudź się, ptaszynko - szepnął jej do ucha Abel. - Musisz to zobaczyć.

Nie miała najmniejszego zamiaru otwierać oczu.

- No, malutka - nalegał Abel, potrząsając nią lekko. - Będziesz żałować, że się nie obudziłaś.

Mackenzie niechętnie wysunęła się ze swego ciepłego kokonu i przetarła oczy.

- Patrz - rzekł, wskazując niebo.

Spojrzała i z zachwyty zabrakło jej tchu. Noc płonęła wszystkimi kolorami. Połyskującą czerwienią, promienną bielą, niezliczonymi odcieniami zieleni i błękitu. Niebo przecinał jeden wielki, migoczący łuk.

- Co to?

Zupełnie już rozbudzona, rozglądała się dokoła. Bała się, że coś może umknąć jej uwagi.

- Zorza polarna.

To była kolejna rzecz, jaką widziała po raz pierwszy. Kolejny cud tej ziemi pełnej legend, tajemnic i lodu.

- Jak... skąd się bierze takie zjawisko?

- W myśl naukowej teorii zorzę powoduje zderzenie się wiatru słonecznego z polem magnetycznym Ziemi. To rezultat jakby walki Ziemi ze Słońcem.

- A co mówią o tym Chippewa?

- Nie słyszałem, żeby mówili coś na ten temat.

- To ja ci powiem.

Odrywając wzrok od płonącego feerią barw nieba, spojrzała na Ablę. Zresztą w jego oczach także widziała blask zorzy.

- Myślę, że to sprawka Manabozo, który rozpałił na niebie tę zorzę, żebym się przekonała, jakie mam szczęście, że jestem tu, nad Legend Lake.

Wydawało jej się, że Abel patrzy na nią nieskończenie długo. W końcu jednak spuścił wzrok i kazał koniowi iść dalej.

- Pora już chyba wracać do chaty.

Znów przytuliła się do piersi Ablę. Nie mógł wiedzieć, że kiedy tamtego dnia stanęła na progu jego domu, zapragnęła zostać z nim na zawsze.

I nie wiedział czegoś jeszcze. Tak jak Manabozo udało się ukraść ogień, ona z tą samą determinacją postanowiła rozpuścić lód otaczający serce Ablę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy skończyła się gra świateł na niebie, a noc stała się jeszcze zimniejsza, Abel odprowadził Mackenzie do chaty, a sam wyszedł jeszcze, żeby zrobić podściółkę koniom. Chciał spędzić trochę czasu z dala od Mackenzie. Musiał się zastanowić i zobaczyć sprawy z właściwej perspektywy.

Kiedy wrócił, w chacie panowała absolutna cisza. Domyślił się, że Mackenzie była tak wyczerpana, że położyła się do łóżka i zasnęła.

Starając się nie robić hałasu, napalił w saunie, a potem zajrzał do Naszaty. Uspokojony, że wszystko w porządku, rozebrał się i wziął prysznic. Następnie, owinięty tylko w talię ręcznikiem, zanurzył się w gorącej parze.

Sauna była największym kaprysem, na jaki sobie pozwolił, budując tę chatę. Kiedy w środku nocy budziły go koszmary przeszłości, sauna była jedynym jego ratunkiem.

Mógł się tam zamknąć i wypocić wszystkie strachy.

Dziś jednak nie przywiódł go tam niepokój ani sny o śmierci i unicestwieniu, lecz zielone oczy Mackenzie i pragnienie, by ją znów posiadać.

Oparł się o ścianę, wdychał gorące powietrze pachnące cedrem, lecz... czuł tylko ją. Jej skórę. Miękkie włosy. Zapach jej podniecenia.

Przymknął oczy i widział tylko swoją żonę. Lukier na jej palcach. Jej uwodzicielskie spojrzenie. Swoje ciemne dłonie na jej mlecznobiałym ciele.

- A niech to diabli - mruknął, odgarniając z czoła wilgotne włosy. - Co ona ze mną wyprawia?

Odetchnął głęboko. Wiedział aż za dobrze, co. Ona też wiedziała. Niszczy wszystkie jego postanowienia. Burzy jego determinację. Nawet zmusiła go, by opowiedział jej usłyszane od matki historie. Bajki z dzieciństwa, które obudziły w nim dawno uśpione uczucia.

A jednak, choć zdawał sobie sprawę z konsekwencji, nadal jej pragnął. Gotów był ulec swojej największej słabości, tej, z którą walczył od chwili, kiedy wziął ją do łóżka i posunął się dużo dalej, niż zamierzał.

Sprawiła, że zapragnął jej ufać. Ujawnić tajemnice swojej przeszłości.

Spytał ją, czy się boi. A przecież ta ptaszyna nie boi się niczego. Ale on tak i to aż do bólu.

Oto ironia losu. Jeśli da jej to, czego pragnie, i otworzy przed nią swoją duszę, może ją stracić. Jeśli tego nie zrobi, straci ich oboje. Mackenzie nie można oszukiwać.

Prosiła, by uczynił ją swoją żoną.

Prosiła, by uczynił ją swoją żoną i wyglądała wtedy tak słodko... jak w tej chwili, kiedy nieśmiało wsunęła się do wypełnionego gorącą parą pomieszczenia.

Serce na chwilę przestało mu bić, jak zawsze ostatnio na jej widok. Poczul ból dużo silniejszy niż ból fizycznego pożądanego.

Oświetlona wpadającym przez świetlik blaskiem księżyca stała przed nim naga, owinięta tylko ręcznikiem. Niewinność i pokusa. Niszczycielska kombinacja.

Wtedy się poddał. Przestał się wypierać swoich uczuć. Choć tak naprawdę stało się to już dawno, dopiero teraz to przyznał.

Wyciągnął rękę. I obdarzył ją zaufaniem.

Słowa nie przyszły mu łatwo. Ale jednak je wymówił.

- Uczyni mnie swoim mężem.

Spojrzała mu w oczy. Pytająco. I zrozumiała.

Zrezygnował. Poddał się. Oddał jej się całkowicie.

W jej oczach zabłyśły łzy, potem spłynęły po policzkach, mieszając się z kropelkami potu. Rozwiązała ręcznik i podeszła do niego.

- Jeszcze raz - zażądała.

Spojrzał jej głęboko w oczy, zobaczył w nich szczerość jej serca i jeszcze raz bezwstydnie wyznał swoje pragnienie.

- Uczyni mnie swoim mężem, Mackenzie. - Przełknął z trudem ślinę. - Chcę...

Położyła mu na ustach swe drżące palce i uciszyła go.

- Nic nie mów. Wiem, czego chcesz - szepnęła i ukłękła przed nim.

Rozsupłała węzeł jego ręcznika i wzięła do ręki jego spragnioną męskość. Przysunął się bliżej i pozwolił jej usiąść na sobie. Kołyszącym się ruchem przyjęła go do siebie z otwartością kobiety, która chce sprawić przyjemność swemu mężczyźnie.

Nie musieli się już spieszyć. Mieli przed sobą wieczność. Mogli cieszyć się sobą.

Kiedy było już po wszystkim, Abel przytulił ją mocno do siebie i po raz pierwszy w życiu uwierzył w cud.

Manabozo ukradł ogień; Abel Greene ukradł coś dużo cenniejszego.

Stali obok siebie na pokrytym śniegiem cmentarzu. Ciemne niebo wieszczyło opady, nisko wiszące chmury zapowiadały wiatr.

Matka Abła była pochowana w rogu, z dala od grobów szanowanych rodzin i założycieli miasta. Mackenzie chwyciła Abła za rękę, kiedy przyklęknął, by odgarnąć śnieg z surowej, szarej płyty.

- Była taka młoda - szepnęła ze smutkiem, kiedy spojrzała na datę jej śmierci.

- Nigdy nie była młoda.

Minęły trzy dni od ich ślubu. Trzy dni, które zmieniły jej życie i życie mężczyzny stojącego obok niej.

Widziała, że dla niego nie było to łatwe. Bardzo powoli się przyzwyczajał. Z początku dawał jej tylko maleńkie kawałki siebie. Drobiazgi, które nie sprawiały mu bólu i ujawniały zaledwie powierzchowne cechy. Fragmenty stopniowo układające się w zawiłą całość, którą jest jego życie.

Kiedy poprosił, by tu z nim przyjechała, domyśliła się, że chce przełamać kolejną barierę.

- A kim był twój ojciec? - spytała z wahaniem. - Nigdy o nim nie mówiłeś.

Abel wstał, otrzepał śnieg z ręki i spojrzał w dal.

- Bo nie jest tego wart. Był pijakiem i włóczęgą, któremu nawet nie chciało się poślubić mojej matki. Wykorzystywał ją, obrażał...

Przerwał, a jego mina dopowiedziała resztę. Mackenzie nie miała wątpliwości, że i Abła ojciec źle traktował. Ścisnęła go za rękę i przytuliła się do niego.

Gestem, na który jeszcze poprzedniego dnia by się nie zdobył, otoczył ją ramieniem.

- Wyłudził od mamy wszystkie pieniądze, upokorzył ją,

a potem zostawił. Nie widziałem go ani nie miałem o nim wiadomości od... sam już nie wiem... od kiedy skończyłem dziesięć, może jedenaste lat.

- A za jego odejście winisz siebie.

Spojrzał na nią ponuro i wzruszył ramionami.

- Racjonalnie rzecz biorąc: nie.

- Ale emocjonalnie.

- Emocjonalnie... Powiedzmy, że rozumiem postawę Marka. Kiedy byłem w jego wieku, reagowałem tak samo. Byłem rozwyrzonym bękartem Faye Greene. I chciałem przekonać o tym każdego.

Stał się także samotnikiem. Nie dopuszczającym do siebie nikogo z obawy przed późniejszym odrzuceniem.

Współczuła temu chłopcu, który teraz, będąc już dorosłym mężczyzną, wciąż cierpi z powodu tamtych ran.

Abel spojrzał po raz ostatni na grób matki, potem zwrócił się ku Mackenzie.

- Wiele razy, jeszcze zanim nas opuścił, bywaliśmy głodni. Matka mogła sprzedać tę ziemię i byłoby jej łatwiej. „Muszę dotrzymać słowa”, mawiała. Robiła to dla mnie. Dlatego wróciłem nad to jezioro.

Zostawiła mi tę ziemię, Mackenzie. Ziemię, która kiedyś należała do Indian Chippewa. Żeby jej nie utracić, pracowała na dwóch posiadach. Zasnęła za kierownicą, bo za długo i za ciężko pracowała.

Przerwał nagle i spojrzał na Mackenzie bardzo poważnie.

- Jest pewien człowiek. Nazywa się Grunewald. John Grunewald.

- Grunewald. - Przeraził ją nagły gniew w oczach męża. - Chyba gdzieś na jakimś szyldzie widziałam to nazwisko.

- To najbogatszy człowiek w mieście. Ma największą tu-
tejszą fabrykę.

- Papiernię, prawda?

Abel skinął głową.

- Chce mojego drewna. Ale go nie dostanie.

Już od kilku dni nie widziała go w takim stanie.

- Zapamiętaj jego nazwisko. I trzymaj się od niego z da-
leka. Jeśli kiedykolwiek pojawi się tutaj podczas mojej nie-
obecności, nie rozmawiaj z nim. Nie wpuszczaj go do domu.
Nie słuchaj niczego, co będzie do ciebie mówił.

Chwycił ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy.

- Obiecuj, że nigdy nie pozwolisz, by się do ciebie zbliżył.

- Mówisz o nim jak o potworze - zauważyła z uśmie-
chem, który miał go trochę uspokoić,

- Obiecuj mi, Mackenzie - zażądał, przyciągając ją do
siebie. - Obiecuj, że się nie zbliżysz do tego człowieka.

- Obiecuję - szepnęła, zaniepokojona jego gwałtownym
żądaniem.

Uznała jednak, że lepiej będzie nie dyskutować z Ablem.
Postanowiła nie pytać go o Grunewalda. W każdym razie nie
teraz. Choć rany, jakie zadał mu ojciec, wciąż bolały, były to
stare rany. To, co zrobił Grunewald, było świeższe.

- Obiecuję - powtórzyła i oplótła Abła ramionami.

Tulił ją do siebie przez długą chwilę.

- Chodź - rzekł w końcu i poprowadził ją z powrotem do
auta. - Musimy zrobić zakupy. Mark jutro wraca. Dzieciak
potrzebuje łóżka. Choć się nie skarży, nie może dalej spać na
poddaszu.

Tej nocy wrócił tamten sen.

Nagle.

Niezapowiedzianie.

Abel obudził się zlany potem, z bijącym sercem. Paraliżował go strach, lecz postanowił się bronić. Chwycił za gardło potwora, który chciał odebrać mu życie.

Gdzieś z oddali usłyszał jęk. Znieruchomiał i otworzył oczy. I serce mu zamarło.

- Nie... O Boże, Mackenzie. Nie.

Przyciągnął ją do siebie i błagał o przebaczenie. To na jej gardle zaciskał ręce.

- Abel, proszę, uspokój się. Nic mi nie jest. Nawet nie poczułam bólu, byłam tylko przerażona.

- To dlaczego twoje gardło jest tak obolałe, że ledwo mówisz?

- Chciałbyś - odparła, zmuszając się do uspokajającego uśmiechu.

Był przekonany, że już do końca będzie się czuł winny, ponieważ zrobił jej krzywdę.

Wyglądała tak krucho. Przeniósł ją z sypialni na kanapę w salonie, żeby móc się nią opiekować. Na jej szyi widoczna była groźnie wyglądająca pręga. Zadrżał, kiedy przypomniał sobie, jak zbudził się z palcami zaciśniętymi na jej gardle.

Wstał i przez chwilę stał nad nią.

- Abel - szepnęła.

Mówiła z trudem, co cały czas przypominało mu, co jej zrobił.

Odłożyła na bok okład z lodem i podeszła do niego.

- Abel. Boli mnie tylko to, że nie wiem, dlaczego tak cierpisz.

Przytulił ją ostrożnie do siebie. Czuł jej kruchość, ale i ja-

kąś wewnętrzną siłę, z której nawet ona nie zdawała sobie sprawy.

- Porozmawiaj ze mną - poprosiła, opierając mu głowę na ramieniu. - Zaufaj mi.

Zaufanie. Prosiła o tę jedyną rzecz, którą najtrudniej mu było kogoś obdarzyć. Po tym, co jej zrobił, przynajmniej tyle był jej winien. Ona właśnie tego chciała. Tego pragnęła przede wszystkim. I gdyby jej tego odmówił, odeszłaby.

Wziął ją w ramiona. Przytulił do piersi. Wtulając wargi w jej włosy, usiadł na kanapie. Nie wypuszczał jej z objęć.

Pokój rozświetlał tylko ogień z kominka. W ciszy słychać było bicie serca Abła. Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Wiedział tylko, na czym skończy.

Spojrzał na Mackenzie, kiedy swą małą dłonią pogładziła go po policzku.

- Wiem, że wcale nie chcesz tego usłyszeć. Zdaję sobie sprawę, że dla ciebie to być może za wcześnie. Ale ja nie mogę już dłużej czekać z tym wyznaniem. Kocham cię, Ablu.

Z zaskoczenia aż zamknął oczy.

- Kocham cię - powtórzyła ochryple, przypominając mu ból, jaki jej sprawił. - Musisz mi zaufać i uwierzyć. To, co zrobiłeś, gdzie byłeś, czego doświadczyłeś - to wszystko przecież stanowi część ciebie. Tworzy wizerunek człowieka, jakim niegdyś byłeś. Teraz najważniejsza jest przyszłość. Przyszłość i to, co możemy z nią zrobić.

- Ale -przerwała na moment, by ostrożnie przełknąć ślinę -jeśli to twoja przeszłość może rzutować na naszą przyszłość, chcę, byś mi o niej opowiedział. Muszę zrozumieć, co mnie czeka.

Abel ujął jej dłoń i przycisnął do swoich warg. Lubił dotyk jej skóry; była taka miękka i gładka.

- A jeśli przerazi cię to, co usłyszysz? Jeśli będzie to takie szokujące i złe, że...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

- Spróbuj po prostu mi zaufać.

Szczerłość jej propozycji całkiem rozbroiła Abla. I otworzyła bramy do jego tajemnic. Do tajemnic, których dotąd tak pilnie strzegł, że kiedy uwolniły się w jego śnie, zranił osobę, która najmniej na to zasługiwała.

Nie mógł pozwolić, by to się kiedykolwiek powtórzyło. W ten czy inny sposób musiał chronić Mackenzie. I wiedział, że uczyni to; wyznając jej prawdę. Wraz z wyznaniem przyjdzie rozgrzeszenie. Kiedy uwolni drzemiące w nim demony, może nie będą go już więcej dręczyły. Tylko czy wraz z nimi nie opuści go także Mackenzie?

Nie chciał jej stracić. Ale i nie mógł jej znów zranić.

- Kiedy stąd wyjeżdżałem - zaczął - nie miałem żadnych perspektyw, najmniejszego pojęcia, co zrobić ze swoim życiem. Wiedziałem tylko, że muszę się stąd wynieść.

Unióś dłoń do podbródka i w zamyśleniu przeciągnął nią po widocznej na twarzy bliznie.

- Grunewald - szepnęła, ale tym razem jej domyślność już go nie zaskoczyła. - To on cię zranił.

- Tak. A potem zrobił wszystko, bym nikomu o tym nie opowiedział.

Pogładził ją po plecach, a ona przytuliła się do niego. Opowiedział jej o tym, jak Grunewald i jego banda go załatwili, opuścił jednak szczególnie drastyczne szczegóły. Choć niezbyt chętnie, wspomniawszy jej o swym związku z kobietą, która jest teraz żoną Grunewalda i która po jego powrocie nad jezioro próbowała odnowić z nim znajomość.

- Już wtedy miał władzę. Chciał, żebym stąd zniknął, i dał

mi jasno do zrozumienia, że jeśli tego nie zrobię, namówi Trisnę, żeby oskarżyła mnie o gwałt. Wiedziałem, że z moją reputacją nie miałbym szans, by się z tego wywinąć.

- Jakie to niesprawiedliwe.

- Takie jest życie - stwierdził po prostu. - To było moje przebudzenie. Zawsze wiedziałem, że pieniądze dają przewagę. I ja chciałem ją zdobyć. Żeby zarobić pieniądze, musiałem być w czymś dobry. Wstąpiłem do marynarki i zadziwiłem nie tylko siebie, ale i kadrę swymi umiejętnościami. Po raz pierwszy w życiu czułem, że ktoś ocenia mnie za to, co robię, a nie za to, kim jestem czy nie jestem i skąd pochodzę.

Poczuł, że przytulona do jego piersi Mackenzie uśmiecha się.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał.

- Próbuję wyobrazić sobie ciebie z krótkimi włosami.

- Włosy zapuściłem później.

Skrzywił się, przypominając sobie, co sprawiło, że je zapuścił.

- Po czterech latach opuściłem marynarkę i wstąpiłem do policji. Tak - rzekł, kiedy odsunęła się i spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami. - Zostałem gliną. Tyle, że już wtedy nie znosiłem munduru i dyscypliny. Jak tylko nadarzyła się okazja, zostałem tajniakiem.

- Niebezpieczne zajęcie - mruknęła Mackenzie i objęła go mocno za szyję.

Abel na chwilę zamknął oczy i westchnął głęboko.

- Owszem, niebezpieczne. Dużo bardziej, niż myślisz.

Stałem się nałogowcem. Lecz wciągnęło mnie niebezpieczeństwo właśnie, a nie narkotyki. Im trudniejsza była robota, tym bardziej mi się podobała i tym bardziej brawurowo działałem. Wkrótce przestało mi to wystarczać. W policji było za mało akcji. Przeniosłem się do firmy.

- Do firmy?
- Mam na myśli CIA.

Poczuł, że wtulona w niego Mackenzie sztywnieje.

- Wiem, że na pewno dużo o niej słyszałaś. I to wszystko prawda - te dobre rzeczy i te złe. W teorii każdy powinien trzymać się ściśle określonych zasad. W praktyce nie da się w Agencji uniknąć korupcji. Niektórzy faceci ustanawiają własne zasady. I są wśród nich lepsi i gorsi. Ja stałem się jednym z najlepszych.

Pozbyłem się wszelkich oporów, kiedy straciłem współnika, bo ci z góry zbyt trzymali się przepisów. Kiedy wreszcie zdecydowali się na działanie, było za późno. Carson nie żył.

- Zabijałem.

Ledwo wypowiedział to słowo, wiedział, że nie powinien był tego robić. Jej milczenie przeraziło go. Nie mógł jednak przerwać swojej opowieści. Winien jej był prawdę. Choćby nie miał dać jej już nic więcej.

- Zabijałem i nazywałem to samoobroną. Stosowałem podstęp i nazywałem to sprawiedliwością. Byłem świadkiem brutalności, której mogłem zapobiec, a mówiłem sobie, że to dla wspólnego dobra. Kiedy Carson zginął, pogodziłem się z tym, że jestem dla rządu niezastąpiony. Uehonorowano mnie za walkę z przemytnikami narkotyków, a potem rzucono wilkom na pożarcie.

- Rok później opuściłem CIA i zacząłem działać na własną rękę. Uznałem, że skoro mam nadstawiać karku, będę sam czerpał z tego korzyści.

Nie tylko amerykańskiemu rządowi zależało na ukróceniu przemytu narkotyków. Wiele mniejszych państw potrzebowało moich usług, choć ich motywy nie były może w pełni humanitarne.

Nie interesowały mnie ich motywy, tylko moje. Pieniądze. I pracowałem dla każdego, kto zaakceptował cenę moich usług. Byłem doskonałym fachowcem.

Jest pewna wioska w Kolumbii...

W tę zimną, grudniową noc jeszcze czuł tamten duszący, wilgotny upał, tamto piekło odległe o tysiące mil i pięć lat.

- Rządził nią ważny człowiek, szef jednego z narkotykowych karteli. Wyśledziłem go tam. Wkradłem się, osaczyłem go i wtedy popełniłem błąd nie do naprawienia.

Miała dwanaście lat. - Pamiętał ją, jakby to było wczoraj. - Była istotą o błyszczących, brązowych, niewinnych oczach, które prosiły o zaufanie. I zaufałem jej. Stała się moim źródłem informacji. - Zamknął oczy i skrzywił się z niesmakiem. - Była dzieckiem, a ja wykorzystałem ją, żeby dowiedzieć się tego, co mnie interesowało. Okazało się, że to ona mnie wykorzystała. Miała rodzinę na utrzymaniu. Wciągnęła mnie w pułapkę. Prosto w ręce Gutierrezza.

Nie zabił mnie tylko dlatego, że był znudzony mordowaniem. Ten drań zapragnął jakiejś odmiany. Kiedy bicie przestało go bawić, eksperymentował z prądem.

Na czole Abła pojawiły się kropelki potu.

- Potem jego ulubioną zabawą stały się narkotyki. Dla mnie zaczęło się piekło na ziemi.

Otrząsnął się i wrócił na moment do rzeczywistości. Zapatrzył się w płonący na kominku ogień i przytulił mocno Mackenzie.

- Codziennie obiecywał mi, że mnie zabije. Po miesiącu obietnic błagałem go, by to zrobił.

- Jak mu uciekłeś?

- Nie uciekłem - odparł z lekkim uśmiechem. - To on uciekł ode mnie. Rządząca w tamtej prowincji frakcja polity-

czna miała kłopoty z agencją antynarkotykową. Na dowód swych szczerych intencji wzięli szturmem twierdzę Gutierrezza i wygnali go z kraju. W jego piwnicy znaleźli mnie. Przekazali mnie konsulatowi amerykańskiemu z nadzieją, że zdobędą wdzięczność Amerykanów.

W konsulacie nikt się na mój widok nie ucieszył. Wiedzieli, że gdzieś tam jestem, ale nie chcieli wiedzieć, co robię. Byłem niewygodny. Sprawilem im kłopot, ale ponieważ w przeszłości tak wiele zrobiłem dla kraju, przewieźli mnie po cichu do Stanów i umieścili w wojskowym szpitalu w Wirginii. Wypuścili mnie, kiedy mogłem już poruszać się o własnych siłach. Przez miesiąc dochodziłem jeszcze do siebie w pewnym małym motelu na przedmieściach Waszyngtonu, a potem wróciłem tutaj.

Głośnym westchnieniem skomentował wspomnienia tamtej części swego życia.

- Kupiłem małą przyczepę kempingową. Postawiłem ją na tej ziemi. Cierpiałem, bo organizm wciąż domagał się narkotyków. Przeżyłem koszmar. Stopniowo odzyskiwałem siły. Budowę tej chaty potraktowałem jako terapię. Zabrało mi to dwa i pół roku. Upłynęły kolejne dwa lata, zanim przestałem sypiać z naładowanym pistoletem pod poduszką i drzwiami zablokowanymi metalowymi sztabami.

- Ale wciąż miewasz koszmarne sny - powiedziała, a jej ochrypy głos był najlepszym tego dowodem.

- Tak, wciąż mam te sny.

Odsunęła się od niego. Położyła dłoń na jego policzku i spojrzała mu w oczy. Nie dostrzegł w jej spojrzeniu potępienia, odrazy czy nienawiści. Widział tylko, że Mackenzie mu współczuje. W kąci oka pojawiła się łza i spłynęła po policzku.

- Teraz już nie jesteś sam - szepnęła.

Nawet nie zauważył, że wstrzymuje oddech. Nie poczuł, że serce przestało mu bić. Nie uświadamiał sobie, że wciąż czuje ten niesamowity, paraliżujący strach.

Jej uspokajające słowa podziały na niego jak balsam. Jego też zapiekły oczy. Ze ściśniętym gardłem przygarnął Mackenzie do siebie i podziękował losowi za jego szczodrość.

- Czy lubiłeś siebie takim, jakim byłeś wtedy?

Nie spodziewał się tego pytania. Odbiło się to w jego odpowiedzi.

- Czyżby z moich słów wynikało, że tak?

Mackenzie uśmiechnęła się.

- Nie. Ani trochę. Chciałam się tylko upewnić, że o tym wiesz. Nie lubiłeś tamtego człowieka. Nie pochwalałeś tego, co robił. Ja też nie. - Ujęła w dłonie jego twarz. - Ale rozumiem go... Wiem, co kazało mu robić tamte okropne rzeczy. I wybaczam mu.

Ty, człowiek, którym teraz jesteś, też musisz mu to wybaczyć. Musisz zrozumieć motywy kierujące mężczyzną, którym kiedyś byłeś. On był ofiarą, Ablu. I dopóki tego nie zrozumiesz, również będziesz ofiarą.

Potem go pocałowała. Był to pocałunek czuły i kojący ból.

- Nie zasłużyłem na ciebie - szepnął Abel. Nigdy jeszcze nie mówił z takim przekonaniem.

- To, na co zasługujesz, nie ma nic wspólnego ze mną. Musisz zrozumieć, że wbrew wszystkiemu stałeś się tym, kim jesteś dziś.

Uniósł jej dłoń i pocałował.

- A ty zasługujesz na kogoś dużo lepszego niż ja. Jak to możliwe, że jesteś taka tolerancyjna i niesamolubna?

Mackenzie spojrzała w oczy mężczyzny, którego kochała. Ona też miała swoje problemy.

- Jestem samolubna - oświadczyła.

Nie pozwoliła mu zaprzeczyć.

- Tak - potwierdziła i wyznała mu swój sekret. - Mark i niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł, nie były jedynymi motywami mojego przyjazdu tutaj. I wcale nie jestem taka silna, jak myślisz.

Wstała i podeszła do ognia. Ze złożonymi na piersiach rękami wpatrywała się w płomień. Przez cały czas czuła na plecach wzrok swego męża.

- Byłam zmęczona - powiedziała. - Zmęczona opiekowaniem się Markiem. Tym, że tylko ja muszę to robić. Chciałam mieć własne życie. Pragnęłam móc robić, co chcę. Marzyłam o tym, żeby żyć tak jak inne kobiety w moim wieku, co było niemożliwe, bo stałam się, w dosłownym tego słowa znaczeniu, stróżem mego brata.

Z trudem powstrzymywała łzy zawstydenia.

- Nie znosiłam Marka, bo ograniczał moje życie. Pracowałam jak wół, by utrzymać nas oboje. Zrezygnowałam z nauki. Straciłam nadzieję, że czegokolwiek w życiu dokonam.

W dniu, kiedy natknęłam się w gazecie na twoje ogłoszenie, poddałam się. Odpowiadając na nie, nie myślałam tylko o Marku. Myślałam przede wszystkim o sobie. Miałam nadzieję, że ktoś zdejmie ze mnie część tego ciężaru. Szukałam kogoś, kto dla odmiany zaopiekuje się mną.

Odwróciła się do Abła z oczami pełnymi łez.

- Bezinteresowna? Nie. Przyjechałam tu, bo chciałam rzucić na kogoś mój ciężar. Zrobiłam to z premedytacją. I tego się wstydzę.

Abel wstał i podszedł do niej.

- To bardzo ludzkie. Jesteś tylko człowiekiem, ze wszystkimi jego słabościami i potrzebami. A ja miałem szczęście, że trafiłaś właśnie na mnie.

Patrzył na nią z ogromną czułością.

- Kochasz swego brata, Mackenzie. Nikt, a przede wszystkim ty, nie powinien w to wątpić. Przywołując go tutaj, ocaliłaś mu życie. I pamiętaj, że ocaliłaś także moje.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego ranka Abel pojechał skuterem do Purpurowego Wodospadu i przywiózł Marka do domu. Była pora, jak powiedział, by stali się rodziną.

Mark z początku był trochę najeżony. Mackenzie podejrzewała, że to dlatego, iż nie jest pewien swej nowej roli w ich wspólnym życiu. Z upływem dnia trochę się odprężył, kiedy zobaczył, że jego status się nie zmienił. Mackenzie też się uspokoiła. Wciąż był jej małym braciszkiem i mimo swego poczucia winy kochała go i w razie potrzeby gotowa była walczyć o jego życie.

Ona sama czuła się bezpieczna i kochana. Była zauroczona swoim mężem i zimowym krajobrazem Legend Lake.

Dwa dni po powrocie Marka nadeszła Wigilia. Następnego dnia mieli pojechać do Scarlett i Casey na obiad, a pod koniec tygodnia spotkać się z Maggie i J.D., którzy po spędzeniu świąt z resztą rodziny Hazzardów w mieście, wracali nad jezioro.

Ale w Wigilię Mackenzie i Abel chcieli być tylko ze sobą i z Markiem.

Cała trójka zawarła pewną umowę. Ponieważ Mark i Mackenzie byli bez grosza, nie pozwolili Ablowi wydawać na siebie pieniądze. Prezenty, które sobie wręczyli, okazały się jednak tak wyjątkowe, że nie kupiliby ich za żadne pieniądze.

Kiedy usiedli na podłodze przy choince, by obejrzeć podarunki, Mackenzie wiedziała, że nigdy nie zapomni tej chwili. Zapamiętywała każdy zapach, każdy dźwięk, każdą pieszczotę wzroku swego męża. Obserwowała podnieconego Marka, który tak bardzo starał się ukryć swoje uczucia.

To jest jej rodzina. I wspomnienia, które zachowa na zawsze.

Na choince migotały dziesiątki lampek. Na zewnętrznych parapetach leżało kilka centymetrów świeżego puchu. Mackenzie zapaliła świece na gzymsie kominka, w radiu Marka, ku jego zdziwieniu, znalazła stację, która non stop nadawała kolędy.

Abel na ten wieczór przeniósł Naszatę z małymi na dywanik przed kominkiem. Z pudełka, w którym leżały maluchy, dochodziło pełne zadowolenia posapywanie.

- Ty pierwszy, Ablu - rzekł Mark, podając mu kopertę.

Mark, sam z siebie, wpadł na pomysł wręczania sobie nawzajem obietnic. Dla Abła przygotował pisemną deklarację, że będzie zajmował się końmi i pomagał w wyрубie lasu. Siostrze obiecał, że będzie słuchał swego rapu tak, by nie ranić jej uszu, a w szkole, do której miał zacząć chodzić po świętach, nie narobi jej wstydu.

Mackenzie upiekła dla Marka specjalne ciasteczka i wypełniła nimi kilka puszek, które znalazła w kuchni Abła.

Abłowi obiecała, że uporządkuje mu biuro i załatwi całą robotę papierkową, której tak nie znosił. Pozostałe prezenty, które przygotowała dla męża, były bardziej intymnej natury, postanowiła więc wręczyć je mu w zaciszu ich wspólnej sypialni.

Najwspanialsze jednak były prezenty od Abła.

Markowi podarował jednego ze szczeniaków Naszaty.

Chłopiec przyjął go ze łzami w oczach i przez ściśnięte wzruszeniem gardło z trudem wyjąkał podziękowanie.

- Będiesz musiał to jeszcze uzgodnić z Casey - dodał Abel, głównie po to, by przerwać ciszę i dać Markowi czas, by uporał się ze swoimi uczuciami. - Kiedy dowiedzieliśmy się, że Naszata urodzi małe, obiecałem jej, że będzie mogła sobie któreś wybrać. A ostatnio słyszałem, że zamęcza Scarlett, by pozwoliła jej wziąć dwa pieski.

- Maggie też wierci dziurę w brzuchu J.D. - przypomniała Mackenzie. -I na pewno postawi na swoim, bo on nie umie niczego jej odmówić.

- Mnie jest wszystko jedno, którego szczeniaka... - zaczął Mark i przerwał w połowie zdania, kiedy Abel zdjął z choinki czerwoną kokardę i podał mu ją bez słowa. U jej końców dyndał klucz.

Mark aż pobladł z wrażenia i nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

- To starszy model - rzekł Abel obojętnym tonem. - Kupiłem go podczas mojej pierwszej spędzonej tutaj zimy, ale chyba jeszcze trochę pojeździ. Trzeba będzie naoliwić silnik i zamontować nowe pasy do płóz, ale jeśli chcesz, jest twój.

- Skuter śnieżny? - szepnął Mark.

Abel skinął głową.

Kiedy chłopiec omal się nie rozpląkał z radości, Abel pospieszył mu na ratunek.

- Stoi pod plandeką w stajni. Weź latarkę i sprawdź, w jakim jest stanie.

Markowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wybiegł bez słowa.

I wtedy rozpląkała się Mackenzie. Patrzyła na swego męża, a po jej policzkach płynęły słone, gorące łzy.

- Jesteś wspaniałym człowiekiem.

Abel wzruszył ramionami.

- Ten skuter stał w stajni bezużytecznie.
- Był twój - powiedziała.

Podeszła do niego, siedzącego na podłodze, i usadowiła mu się na kolanach.

- I dałeś go memu bratu. Nikt jeszcze nie zrobił nic...

Uciszył ją pocałunkiem.

- Jeśli dam ci prezent, też będziesz płakała?

Mackenzie pociągnęła nosem i otarła pięściami łzy.

- Może.

Ucisnął ją mocno i sięgnął pod choinkę.

- Otwórz - rzekł i podał jej paczuszkę.

Mackenzie ostrożnie wsunęła palce pod taśmę.

- To tylko papier - powiedział zniecierpliwiony.
- Ale papier, w który owinałeś pierwszy prezent, jaki mi

dałeś. Chcę go zachować.

- A kto zachowa mnie od sentymentalnych kobiet?

Trąciła go łokciem i nie spiesząc się, wróciła do rozwijania paczuszki.

Spod złotej, błyszczącej papieru ukazała się książka.

Była stara, oprawna w skórę, miała pozaginane rogi i liczne plamy.

- Należała do mojej praprababki. Nie płacz, proszę - powiedział, widząc znów łzy w jej oczach.

- Nie mogę się powstrzymać.

Zacisnęła powieki i mocno potrząsnęła głową.

Otworzyła książkę i poprzez łzy spojrzała na ręcznie zapisaną stronę.

- Po... francusku?

Abel skinął głową.

- Moja prababka była córką wojownika, wodza plemienia. Pewien Francuz z Quebecu zakochał się w niej i jej ludzie. Pokochał ich opowieści, spisał je w tym oprawnym tomie i dał praprababce w prezencie ślubnym.

Mackenzie z zachwytem przycisnęła książkę do piersi.

- Szkoda, że nie mogę ich przeczytać.
- Ja ci je przeczytam. I razem poznamy te legendy.
- Myślisz, że jest tam również opowieść o Manabozo?
- Wiem, że tak - szepnął i wtedy dał jej najcenniejszy prezent ze wszystkich. - Tak samo jak wiem, że cię kocham.

To był wieczór łez. I objawień.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną rzecz - powiedziała po chwili Mackenzie. Sięgnęła pod choinkę i wyjęła spod niej kopertę.

Abel spojrział na nią i zmarszczył brwi. Kiedy rozpoznał swoje pismo, uśmiechnął się. To był list, który wysłał do niej, by wycofać się z umowy.

- Myślałem, że go nie dostałaś.
- Chyba się pomyliłam - powiedziała, przyglądając mu się uważnie.

Abel nie odpowiedział, tylko wstał i podszedł do kominka.

- Wesołych Świąt, żono - szepnął i wrzucił list do kominka.

- Wesołych Świąt, mężu.

Pocałunkiem powiedzieli sobie resztę.

Nawet w raju zdarzają się problemy. Takie już jest życie. Tyle tylko, że Mackenzie była przekonana, iż tym razem ominą jej rodzinę.

Mark zmieniał się zadziwiająco. Wiedziała, że to dzięki Ablowi. Choć chłopiec twierdził, że sam znakomicie się bawi

i nawet było to widać, Abel poświęcał mu dużo czasu. Codziennie razem objeżdżali skuterami jezioro. Wyrąbali przełębel i całymi godzinami łowili ryby. Któregoś dnia nawet przynieśli szczupaka.

Przed wszystkim jednak Abel obdarzał Marka zaufaniem. Ufał mu, że sam da sobie radę ze skuterem. Powierzył mu opiekę nad końmi, razem pracowali przy wyrębie lasu.

Niektórym takie rzeczy mogą się wydać błahe, ale dla chłopca, który nigdy nie miał okazji, by się sprawdzić, były one fundamentalne.

Kiedy drugiego stycznia Scarlett przyjechała, by zabrać Marka razem z Casey do szkoły, Mackenzie była pełna nadziei, że i tę zmianę brat przyjmie równie spokojnie. I tak rzeczywiście było. Pierwszy dzień Marka w szkole był godny zapamiętania właśnie dlatego, że nic godnego zapamiętania się w nim nie wydarzyło.

Dopiero drugiego dnia zaczęły się kłopoty.

Abel był na wyrębie, kiedy tuż po dwunastej Mackenzie dostała telefon ze szkoły, żeby przyjechała i zabrała Marka. Zdarzył się wypadek. Nie próbowała nawet skontaktować się z Ablem przez telefon komórkowy. Wzięła kluczyki od jego furgonetki i ruszyła do Bordertown.

Było to niewielkie miasteczko - liczyło niecałe dziesięć tysięcy mieszkańców. Szybko i bez trudu dotarła do szkoły. Wpadła przez podwójne metalowe drzwi do środka, rozejrzała się szybko i pobiegła korytarzem ku drzwiom z tabliczką „Dyrektor”.

Przedstawiła się sekretarce, która obrzuciła ją uważnym spojrzeniem i podniosła słuchawkę.

- Przyszła pani Greene, panie dyrektorze. Tędy - dodała po chwili, wskazując Mackenzie drzwi.

Mackenzie widziała w swym życiu niejedyn gabinet dyrektora szkoły i zauważyła, że wszystkie wyglądają jednakowo: surowe, plastikowe krzesła pod ścianami, poźółkłe żaluzje i jedno drewniane krzesło w rogu, zarezerwowane dla rozrabiaków.

Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła Marka okupującego ten właśnie mebel. Miał podartą koszulę, zakrwawioną wargę i opuchnięte kostki dłoni. Na jego twarzy malowała się zimna obojętność. Nie dała się na to nabrać. Wiedziała, że w środku cały wrze.

- Nic ci nie jest? - spytała, podchodząc do niego.

Mark prychnął wyzywająco i odwrócił głowę.

- Pani brat dziś po obiedzie wdał się w bójkę.

Słowa te padły z ust dyrektora, którego poznała i polubiła, kiedy zapisywała Marka do szkoły. Ten drobny, mocno łysiejący mężczyzna siedział spokojnie za ogromnym biurkiem i przyglądał jej się uważnie zza grubych okularów.

- O ile wiem - zaczęła Mackenzie, z trudem zachowując spokój - do bójki potrzeba co najmniej dwóch uczestników. Dlaczego więc w pańskim gabinecie jest tylko Mark?

Dyrektor uśmiechnął się uprzejmie.

- Mam taką zasadę, która brzmi: „Dziel i zwyciężaj”. Ten drugi chłopiec czeka ze swymi rodzicami w gabinecie kierownika.

Mackenzie zrobiło się głupio.

- Przepraszam. Nie powinnam zbyt pochopnie wyciągać wniosków.

- Przepraszam. Przede wszystkim uważam, że najlepiej będzie, jeśli zabierze pani teraz Marka do domu. W nowej szkole na początku nigdy nie jest łatwo, ale bójka nie rozwiąże się tego problemu.

- Co się stało? - spytała Mackenzie, spoglądając na Marka.

Chłopiec milczał jak głaz.

- Dokładnie tyle samo udało nam się wyciągnąć od niego i od małego Grunewalda - rzekł dyrektor. - Może z panią zechce porozmawiać.

Na dźwięk nazwiska Grunewald krew odpłynęła Mackenzie z twarzy.

- Syn Johna Grunewalda? - spytała, modląc się, by usłyszeć przeczącą odpowiedź. Nie zdziwiła się jednak, kiedy tak się nie stało.

- Co się wydarzyło? - spytała, prowadząc Marka do furgonetki.

Chłopiec wsiadł do auta i wyglądał przez okno.

- Mark, musisz mi powiedzieć.

- Nic ci nie muszę mówić. Nienawidzę tego miejsca.

Szkoda, że wyjechaliśmy z Kalifornii. Tu jest tylko śnieg, lód i banda chamów.

Aż jej się serce ścisnęło. Wróciło. Wszystko wróciło. Jego gniew.

Nie chciał z nią rozmawiać. Nie miał zamiaru jej się zwierzyć. Na szczęście Casey była bardziej rozmowna. Kiedy Scarlett przyjechała po nią do szkoły, opowiedziała jej całą historię. Scarlett powtórzyła ją przy filiżance kawy przy kuchennym stole Greene'ow.

- Jak twierdzi Casey, wszystko zaczęło się jeszcze rano, ale najgorzej było w stołówce. Mark i Casey jedli razem, co Ryanowi Grunewaldowi najwyraźniej nie przypadło do gustu.

Zdaje się, że wyśmiewał się z Marka przez cały dzień. Wszystko mu się nie podobało. Począwszy od długości jego

włosów po fakt, że cofnięto go do niższej klasy, bo w Los Angeles wagarował.

Mackenzie wpatrywała się w pełną troski twarz Scarlett.

- Mów dalej.

Scarlett, choć niechętnie, spełniła jej prośbę.

- Ryan wypowiedział jakąś niesmaczną uwagę o tobie i Ablu.

Było jej niedobrze, kiedy słuchała dalszej opowieści Scarlett. Mark zażądał od Ryana, by cofnął swoje słowa. Kiedy Ryan odpowiedział mu bardzo dokładnie, co może sobie zrobić z tą propozycją, Mark przeskoczył przez stół i rzucił się na niego. Czterech nauczycieli musiało ich rozdzielać.

Mackenzie nie miała pojęcia, jak to wszystko przedstawić mężowi. Wiedziała, że Abel będzie wściekły. Przypomniała sobie jego przeszłość, przemoc, która kiedyś rządziła jego życiem, i zaczęła się o niego bać. O Johna Grunewalda także.

- Abel nie może się o tym dowiedzieć.

- Obawiam się, że trudno będzie utrzymać to przed nim w tajemnicy. Z tego, co mówi Casey, wynika, że warga Marka jest głęboko rozcięta.

- Wiem. I powiem mu o tej bójce. Nie chcę tylko, by dowiedział się, że to syn Johna Grunewalda sprowokował Marka. Ten człowiek i Abel mają ze sobą na pieńku.

Scarlett spojrzała na nią współczująco.

- Wiem. Maggie mi mówiła.

- Maggie? Co ona wie?

- Wszystko. Wie, że to John kiedyś dawno temu zranił Abła. Słyszała też, jak zachowywała się żona Johna, kiedy Abel wrócił nad jezioro. O kłopotach na wyrębie, za którymi, zdaniem Abła, kryje się Grunewald. - Widząc zaskoczoną

minę Mackenzie, Scarlett zamilkła. - O Jezu! Nie wiedziałaś o tym, prawda?

Mackenzie z trudem przełknęła ślinę.

- O jakich kłopotach? - spytała. - Opowiedz mi, Scarlett. Jeśli jesteś moją przyjaciółką, opowiedz mi o nich.

Z bólem serca i głębokim westchnieniem Scarlett opowiedziała jej o sabotażu w wytwórni Abła i o pożarze.

Mackenzie położyła łokcie na stole i oparła głowę na rękach. Było gorzej, niż myślała. Abel mówił, że Grunewald chce jego drewna. Sugerował nawet, że to taki człowiek, który nie cofnie się przed niczym, byle dostać to, czego chce. Najwyraźniej jest to także taki człowiek, który przekazał swoją nienawiść synowi. To było takie niesprawiedliwe. A ona czuła się całkiem bezradna.

Zanim Scarlett i Casey odjechały, zaczął padać śnieg. Kiedy zniknęły jej z oczu, już postanowiła, że sama stawi czoło Grunewaldowi. Tylko w ten sposób uda się uniknąć dalszej przemocy.

Wiedziała, że Abel nie będzie z tego zadowolony, ale nie mogła siedzieć i patrzeć, jak przez mściwość jednego człowieka jej rodzina się rozpada.

Starła się nie pamiętać, że obiecała Ablowi, iż będzie się trzymała od Grunewalda z daleka.

Chwyciła kluczyki do furgonetki i wybiegła z domu. Chciała załatwić sprawę, zanim Abel wróci i weźmie ją w swoje ręce. Nie zdążyła jednak jeszcze włączyć silnika, kiedy usłyszała nadjeżdżający skuter.

Oparła czoło o kierownicę i tak zastał ją Abel. Uniosła głowę, kiedy zastukał do okna. A kiedy zobaczyła w jego oczach szczerą troskę, zrezygnowała ze wszystkich wykrętów, które sobie wcześniej obmyśliła.

Kiedy otworzył drzwi, wzięła go za rękę i razem z nim weszła do domu.

Usiedli przy stole w kuchni i ze spokojem, którego wcale nie czuła, opowiedziała mu całą historię.

- Mogłem się tego spodziewać - rzekł po długim milczeniu. - Powinienem wiedzieć, że Grunewald zatruje tą nienawiścią do mnie także swego syna.

Mackenzie była zupełnie załamana. Dwaj najdrożsi jej ludzie cierpieli przez taką małąstkową mściwość.

- Powinieneś współczuć temu chłopcu - powiedziała, mimo że przed oczami miała wciąż okaleczoną twarz Marka.

- Współczuję mu. Ale nie muszę współczuć jego ojcu. Abel bez słowa wstał od stołu i włożył kurtkę.

Mackenzie też zerwała się na równe nogi, choć czuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- Abel, nie. Proszę... trzymaj się od Grunewalda z daleka. Proszę - błagała, chwytając go za ramię. - Zostań. Wymyślimy jakiś inny sposób.

- Przecież ty też się do niego wybierałaś - rzucił oskarżycielskim tonem. - Na tym cię przecież przyłapałem. Chciałaś sama stawić mu czoło, prawda? Gdybym nie przyjechał, to właśnie byś zrobiła, mimo że obiecałaś trzymać się od niego z daleka.

- Ja tylko chciałam ci pomóc.

- Sam załatwiam swoje sprawy, Mackenzie.

- Właśnie tego chciałam uniknąć. Dość już było walki i nienawiści. Nie chcę, by ktokolwiek cierpiał z powodu Marka czy mnie.

Abel ze smutkiem pokręcił głową.

- Jeśli myślisz, że to z powodu ciebie lub Marka, to się mylisz - rzekł. Strącił jej rękę ze swego ramienia i wyszedł.

Grunewald osobiście otworzył mu drzwi.

- Cześć - powitał chłodno swego wroga Abel.
- No, no. Co cię tu sprowadza? Niech zgadnę. Zabłądziłeś.

Nic dziwnego w taką zadymkę.

Abel zacisnął zęby, ignorując tę obelgę.

- Musimy porozmawiać.
- Porozmawiać? - zdziwił się Grunewald, zrobił jednak krok do tyłu i wpuścił gościa do bogato urządzonego holu.

- Masz chyba przyjemniejsze zajęcia - dodał z krzywym uśmiechem. - Słyszałem, że ta twoja nowa żonka to niezła sztuka. Gratuluję ci, a jej przekaz moje kondolencje.

Tylko przez wzgląd na Mackenzie Abel nie wyjął z kieszeni swych dłoni zaciśniętych w pięści.

- Posłuchaj... przyszedłem tu do ciebie jako do ojca — rzekł szybko, przechodząc do sedna. - Twój syn i brat mojej żony pobili się dzisiaj w szkole.

- Tak, słyszałem - przyznał Grunewald z przymilnym uśmiechem.

- To się nie powinno było zdarzyć.

- Wiesz, jak to jest z chłopcami.

- To nie ma nic wspólnego z tymi chłopcami. Tylko i wyłącznie z nami. Dobrze o tym wiesz. To, co było między nami, zdarzyło się dawno temu. Nie chcesz o tym zapomnieć, trudno. Dam sobie radę. Ale nie pozwolę, byś prznosił swój gniew na nasze dzieci.

Grunewald uśmiechnął się ironicznie.

- Tego rozczochanego wyrostka nazywasz dzieckiem?

Abel zacisnął mocno szczęki, by powstrzymać wybuch wściekłości.

- To jeszcze dzieci. Twój syn i brat Mackenzie. I tylko od nas zależy, jak długo nimi pozostaną.

Grunewald wpadł w furję. Podbiegł do drzwi i otworzył je szeroko.

- Nie muszę tego wysłuchiwać. A już na pewno nie w moim własnym domu. Wynoś się.

Kiedy tylko Mackenzie usłyszała ryk silnika, podbiegła do drzwi. Stała tam jak wmurowana i w milczeniu czekała, aż maź wejdzie do domu i zdejmie kurtkę.

Abel bez słowa wziął ją w ramiona.

- Uspokój się, ptaszku - szepnął. - Byłem grzeczny.
- Kocham cię.
- Chciałem zapłacić mu za to, kim jest i jaki jest, a także za to, co robi swojemu synowi.
- Ale tego nie zrobiłeś.
- Nie. Nie udało mi się też go przekonać, by zmienił swoją postawę. Obawiam się, że kłopoty Marka dopiero się zaczęły.
- Jakoś sobie z tym poradzimy.

Dalszą rozmowę przerwał im telefon. To J.D. prosił o pomoc. Organizował grupę poszukiwawczą.

- Kogo szukają? - zaniepokoiła się Mackenzie, kiedy Abel chwycił kurtkę.

- Syna Grunewalda.
- Jezus Maria.

W tej samej chwili w progu kuchni stanął Mark.

- Chcę pomóc go szukać.
- Abel spojrział na niego zdziwiony.
- On do mnie dzwonił. To znaczy Ryan - uściślił Mark.
- Powiedział, że słyszał wszystko, co Abel mówił jego ojcu. Uznał, że Abel ma rację. Przeprosił mnie za to, co powiedział o was.

Poinformował mnie również, iż uprzedził ojca, że do mnie

zadzwoń. Jego stary odparł mu na to, że jeśli to zrobi, nie będzie już jego synem. Chcę pomóc szukać Ryana - powtórzył.

Los chciał, że choć szukało go kilkanaście grup, w końcu koło północy znaleźli go akurat Abel i Mark.

Wpadł swoim skuterem śnieżnym na drzewo. Mimo, a może właśnie dlatego, że obok leżała pusta flaszka, miał na szczęście tylko złamaną rękę i był przemarznięty.

Abel wezwał karetkę, która natychmiast odwiozła chłopca do szpitala.

Okazało się, że stary Grunewald wyznaczył nagrodę dla tego, kto odnajdzie jego syna. Musiał przełknąć gorzką pigułkę, kiedy okazało się, że byli to Abel i Mark.

- Zresztą tak się ucieszył, kiedy zobaczył swego syna żywego, że było mu wszystko jedno, kto go uratował - rzekł Abel, kiedy siedzieli we trójkę z z Mackenzie przy kominku.
- Nawet było mi go żal.

- Abel nie chciał wziąć pieniędzy.
Mackenzie spojrzała na męża.

- Nie potrzebuję ich. Nie szukałem chłopca dla pieniędzy, lecz z tego samego powodu, co Mark. Tak po prostu należało zrobić.

Następnego dnia John Grunewald złożył im wizytę. Nie tylko podziękował za uratowanie syna, ale i przeprosił za wszelkie zło, jakie wyrządził Ablowi.

EPILOG

Kiedy Mackenzie opowiedziała Scarlett o wszystkim, co się wydarzyło, ta zadzwoniła natychmiast do J.D. i Maggie, którzy uznali to za znakomity pretekst do urządzenia przyjęcia.

Tym razem odbyło się ono w hotelu Scarlett, którym Mackenzie była oczarowana. Wszyscy znakomicie się bawili.

Kiedy przysłała pora wracać, Mackenzie zupełnie nie miała na to ochoty.

Dopiero w łóżku poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

- Teraz widzę, czemu martwisz się o Scarlett i Casey - powiedziała, tuląc się do męża. - Żyją same w ogromnym domu na odludziu.

- Scarlett jest bardzo dzielna. I, jak często mi przypomina, umie sobie dawać radę.

- Wiem. Tylko że...

- Tylko że chciałabyś, żeby była szczęśliwa w małżeństwie, tak jak Maggie i ty? - dokończył za nią z uśmiechem.

- Tak. O to mi chodzi. Chciałabym, żeby była szczęśliwa w małżeństwie, tak jak J.D. i ty - zażartowała.

Uniosła się na łokciu i zajrzała mężowi w oczy.

- Jesteś szczęśliwy... prawda? - spytała niepewnie.

Abel przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował.

- Czy jestem szczęśliwy? - szepnął, muskając palcami jej

wargi. - Spróbuję ci udowodnić, jak bardzo. Ale nigdy ode mnie nie odlatuj, ptaszyno.

- Tu jest mój dom - odparła. - A ty jesteś moim mężem. Czuję się szczęśliwa, na co tak długo czekałam. Teraz, kiedy cię spotkałam, nie chcę już donikąd odchodzić. Kochaj mnie - szepnęła, obejmując Abła. - Podaruję ci coś, bez czego, tak jak bez ciebie, nie mogłabym żyć. Podaruję ci moje serce.

RS